

# KUŹNICA

Cena 25 zł — 8 stron

Warszawa, 14 sierpnia 1949 r.

Nr 32 (204) Rok V

**TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI**

W numerze m. in.:

- K. PIWARSKI
- H. MARKIEWICZ
- J. ŚPIEWAK
- W. WOROSZYLSKI
- E. NAGANOWSKI

Samolubna jednostka bur-  
żuazyjnego społeczeństwa, w  
swym oderwanym wyobrażeniu,  
w swej martwej abstrakcji, na-  
dyma się i przeobraża się w  
atom czyli w istotę pozbawio-  
ną stosunków...

KAROL MARKS

KAZIMIERZ BRANDYS

## POMYŚLNY WIATR

**D**wie ubiegłe nagrody „Odrodzenia”, za rok 1948 i 1949, wyłoniły w sumie około 40 pozycji prozy powieściowej, pamiętnikarskiej, krytycznej i monograficznej. Nagroda „Odrodzenia” nabiera charakteru kadrowego. Obok laureata wysuwa szereg utworów zasługujących na uwagę, dając w ten sposób ogólniejszy obraz produkcji literackiej jednego roku. Przy czym warto zanotować, że z roku na rok ta kadra literacka staje się bogatsza — przynajmniej pod względem ilościowym. W roku 1946 wyróżnionych książek było zaledwie 7, w roku 1949 jest ich — łącznie z wymienionymi w dyskusji — 25.

Jako krytyk tylko z przypadku, nie będę się wdawał w ocenę poszczególnych utworów, które i tak omówili lub omówią inni sprawodawcy, bardziej miarodajni. Ale jako pisarz pisarz i uczestnik tej „założonej literackiej, chciałbym nakreślić parę uwag, które mi przyszły do głowy, kiedy rozważałem pięcioletnie dzieje naszej powojennej prozy. Dyskusja na temat jej zadań i przyszłości trwała pełne trzy lata. Była to wielka, burzliwa i gorąca rozmowa o literaturze. Mógłby z niej powstać ciekawy tom i szkoda, że nie powstał. Dałby on bowiem żywy, świeży obraz zbiorowej myśli o sztuce pisania, myśli wyrażonej w pierwszym odruchu wolności po latach niewoli i w pierwszym przebiegu prawdy po długich latach omyłek. 3-letnia dyskusja o realizmie, prowadzona na łamach naszych pism literackich, nie poszła przecież na marne. Prawda, że ścierały się w niej sprzeczne nieraz sady i odmienne stanowiska. Prawda, że nie wszyscy jej uczestnicy rozeszli się pogodzeni. Ale z powodów różnorodnych postulatów i diagnoz ocalało jedno trwałe i pewne przesłanie: że literatura nowych czasów musi opisywać życie swojego narodu i brać w nim twórczy, czynny udział, współkształtując jego postępową myśl.

Czy wypełniamy to zadanie? Czy tworzymy wielką ludową literaturę, służącą dla wszystkich? Czy nasze słowa może czytać każdy prosty człowiek i czy znajdzie w nich prawdy, których szuka?

Nie mógłbym odpowiedzieć na te pytania per tak albo nie. Może dlatego, że za wcześnie byłoby tak stanowczo na nie odpowiadać, albo dlatego, że twórczość artystyczna jest dziedziną procesów i zjawisk nie zawsze od razu dostępalnych i w pewnych etapach — mówiąc o niej — należy poprzestać na stwierdzeniu przeważających kierunków i ciężej, niż osądzać fakty.

Grupa pisarzy, która w 1945 roku podjęła hasło realizmu, nie walczyła o nazwę. Treścią tego postulatów była konieczność walki z samotnym ukazywaniem człowieka oderwanego od rzeczywistości związków ze swym otoczeniem społecznym, ze swoim narodem. U źródła tego postulatów leżała głęboka niewiara, aby wizje mieszczańskich schyłkowców mogły spełnić obowiązki sztuki naszego czasu. Lata kapitalizmu i lata oporu wobec faszyzmu ugięły się pod ciężarem spraw jeszcze niespisanych przez literaturę. Mieliśmy na koncie wielkie pytania, na które w książkach pisarzy odpowiedzi jeszcze nie padła. W ciągu ubiegłych pięciu lat literatura nasza musiała wykonać trudny zwrot w miejscu i oczyścić swoje pole widzenia z sugestyjnych zasłon wznieśionych przez 50-letni okres schyłku burżuazyjnej sztuki.

Zadanie to zostało spełnione. Znajdą się mi dziś pisarza — pisarza wysokiej klasy — któryby wyświetlał dramat swego bohatera przy pomocy kompleksu s Etydy nabytego w dzieciństwie, albo zamykał go w hermetycznej butelce integralnego psychologizmu. I to możemy dziś stwierdzić z zupełną pewnością: oddzieliliśmy się od tych fikcyjnych dramatów podświadomości, rozgrywających się w świecie społecznie i politycznie pustym, który równie dobrze mógł być światem fin de siècle'u, jak światem faszyzmu. Odeszliśmy przez pięć ubiegłych lat bardzo daleko od tych opowieści zawartych w graniach mieszczańskich progów psychicznych i szalenie odgradzających człowieka od spraw zbiorowości. Literatura taka, która wczoraj jeszcze mogła być nazwana elitarna, dziś musiałaby być osądzona jako szkodliwa. Mamy bowiem za sobą doświadczenia, które z pisarstwa gardzącego sprawami wspólnoty ludzkiej — czynią kłamstwo.

Walka o wielki ludowy realizm polskiej literatury nieraz zmieniała kierunek ofensywy. Nie możemy narzekać na brak obciążeń i fałszywych tradycji. Były one nie tylko zastarzałe i uparte, ale i bardzo rozmaite. Postępowy nurt polskiego pisarstwa, który w pierwszych dziesiątkach ubiegłego stulecia rozlał się w burzliwą, wspólną rzekę poetyckiego romantyzmu, a w drugiej jego połowie popłynął szerokim łozyskiem oświeconej pozytywistycznej prozy — już na przelomie dwóch wieków zaczął się macieć i ubożeć. Pokolenie urodzone w latach pierwszej wojny światowej otrzymało w rodzimym spadku kulturalnym Młodą Polskę i ekspresjonizm, Orzeszkową i Prusa przetopionych na drobna monetę naturalistycznej powieści, wszystkie przywary Sienkiewicza obnażone w szowinistycznych, reakcyjnych opowiadaniach Malaczewskiego czy w bezmyślności Goetla, posąg Zeromskiego przekuty na figurę Kadena.

Trzeba pamiętać, że w pierwszym okresie po wyzwoleniu z hitlerzyzmu cały ten spadek ożył w twórczości wielu pisarzy

młodszej i średniej generacji. Obstrzał publicystyki literackiej musiał się wtedy zwrócić w tym kierunku. Hasła walki z formalizmem i psychologizmem ustąpiły na ten czas miejsca atakom na „mały realizm”, tak bowiem ochrzczono międzywojenną odmianę naturalizmu, która się gesto u nas rozpełniła po wojnie. I niemal w tym samym czasie dostrzeżono niebezpieczeństwo grożące od strony relikwów powieści mistyczno-rycerskiej, w których zaczął się na nowo odradzać nacjonalistyczny idealizm.

Zdaje się, że i w tym zakresie — w zakresie oczyszczania pola ze złych, fałszywych obciążeń — uczyniono bardzo wiele. Tak wiele, że dziś, po pięciu latach, człowa grupa współczesnych polskich pisarzy jest od tych obciążeń wolna — jeśli nie w sferze już osiągniętych dokonań, to napewno w świadomym planie swych artystycznych zamiarów.

Skręt został zatem wykonany. Ale czy został wykonany krok naprzód? Przed współczesnym pisarzem, który zrozumiał nieodwracalność tego skrętu i olbrzymie perspektywy, jakie odsłonił on literaturze — stanęła konieczność wyreczeź.

Nie należy się przed nim cofać. Są to wyzwolenia związane jedynie z formalnym dorobkiem zamkniętego okresu, z drobnym „warszatem” mieszczańskimi artysty. Warsztat ten zdołał sobie wypracować szereg małych piękności, czarujących finezji i miniaturowych olśnień; nienadarmo zasiadali przy nim subtelni majstrzy kierkowisko-rentierskiej Francji i mądry ironiści z bogatej wyspy brytyjskiej. Przypuszczam, że niejedną z naszych młodych pisarzy poczuł lek na myśl o porzuceniu tych kosztownych drobiazgów, wobec których twarde i proste styli literatury ludowej mogli mu się wydać prymitywne. Przypuszczam również, że z tego właśnie odruchu lekowego wyniki postulatów obrony (ponadhistorycznego) warsztatu czy rzemiosła sztuk pięknych.

Obrony przed czym? Przed postępową ideologią? Przed twórczą postawą polityczną? Nie — odpowiadali obrońcy warsztatu — przed wulgaryzacją.

Cała ta figura logiczna jest trochę niepokojąca. Nie damy głowy za to, czy w ogóle istnieje abstrakcyjny, ponadhistoryczny warsztat literacki, czy Owidiusz i Mickiewicz, Rabelais i George Sand, Defoe i Diderot, Proust i Gorki korzystali z jakiegoś wspólnego, wszechczasowego warsztatu. Kształt i technika kompozycji, sposób obrazowania i kierunek wyobraźni każdego z tych wybitnych czy wielkich pisarzy były zrzuwane przez ich poglądy na świat i wynikiły z nich stosunku do rzeczywistości. Największy z tych wielkich niewiele sobie robili z warsztatowej spuścizny ubiegłych epok, a czasem mocno ją nadwyżali, byle tylko dać w swych dziełach pełny, nieskrępowany wyraz swym „tendencyjnym” postawom wobec współczesności. I kto wie, czy Stendhal lub Balzac nie byli potężnymi wulgaryzatorami w stosunku choćby do drogocennej literatury okresu Regencji, albo w porównaniu ze sztuką piękniejszego pisania Bernardyna de Saint-Pierre, księdza Prévost, wicehrabiego de Chateaubriand, czy ich naśladowców.

Nasi obrońcy warsztatu niewątpliwie popełniają błąd. Mówią o obronie literatury przed nadmierną presją hasel politycznych — pod słowem „literatura” mają najczęściej na myśli 50 lat burżuazyjnej powieści francuskiej od Flauberta do Gide'a, czy angielskiej od Mereditha do Joyce'a. Mówiąc o obronie warsztatu przed wulgaryzacją — pod słowem „warsztat” podstawią zespół środków pisarskich wypracowanych przez długie szeregi mieszczańskich artystów tego właśnie okresu. Bronią więc — nie abstrakcyjnego rzemiosła, lecz konkretnej ideologii. Bronią — nie stylu, lecz światopoglądu. To bowiem, co nazywają stylem — jest to światopogląd, który przeniknął do

gramatyki zdania i podyktował kadencję słów.

Obrony rzemiosła i warsztatu walczą więc o jakąś tajemniczą alchemię, o jakiś urojony kamień mądrości, ukryty wedle ich zapewnień w blaskach dogasających szczytków po wielkim realizmie krytycznym XIX wieku. I tę alchemię usiłują równoważyć — olbrzymiemu naporowi nowej myśli i nowej woli. Myśli społecznej i politycznej, jak ta którą wyrażali Wolter i Heine, Tolstoj i Swift.

Piszę o tym dlatego, że to fałszywe hasło, aczkolwiek rzucane zapewne w dobrej wierze, narobiło sporo zamętu. Niejedną może pisarz najlepszej woli zawałał się w obliczu fikcyjnej, nie istniejącej alternatywy sugerowanej przez rycerzy warsztatu: albo dobra literatura — albo literatura propagandowa, tendencyjna. Nie warto chyba tłumaczyć, jak głębokie nadużycie logiczne i historyczne tkwi w tej drugiej dziwnej figurze, bardzo podobnej do stracha na wróble.

Zdaje mi się jednak, że tutaj również sprawa została przez samych pisarzy i krytyków postawiona jasno — i wygrana. Okrzyki grozy gwałconych obrońców warsztatu — w ostatnim czasie ucichły. Wielu pisarzy przewyciężyło wahanie i w niejednym wypadku został napewno uczyniony krok naprzód.

Świadczą o tym chociażby najnowsze, choć może niezbyt liczne pozycje literatury młodszej i średniego pokolenia, pozycje, w których przełamano nieufność wobec trudnej i opornej tematyki młodego państwa ludowego i obawę przed twarde, konkretnym stylem nasyconym nowymi realiami, w jakim ta tematyka się przedstawiała; pozycje, w których została zwołana pierwsza niepewność stapiania po nieznanym terenie, przemawiania do setek tysięcy nowych czytelników i ukazywania im rzeczywistości w kategoriach ich prostych wyobrażeń moralnych, ich pracy i walki. Mieliśmy niedawno w „Kuźnicy” wypadek, gdy młody pisarz który napewno nieraz próbował zgłębiać alchemiczne uruki gąsienicy mieszczańskości sztuki, wydrukował opowiadanie o walce klas, jaką toczyła załoga fabryki „Birena”. I to ta sama załoga tej samej autentycznej fabryki odpowiedziała zbiorowym listem na ową nowelę, w której autor prostym, zwyczajnym językiem opisał jej dzieje. Czy jeśli ten drobny fakt ocenimy jako krok naprzód w stronę socjalistycznego pisarstwa — będzie to przesadny optymizm?

Być może, iż jeszcze nie wszystkie zadanki mamy poza sobą i że jeszcze niejedną trud nas czeka. Nasza skromna łódź pisarska ciągle musi omijać liczne Scylle i Charybdy, zanim wreszcie wypłynie na czyste, obszerne wody wielkiej ludowej twórczości. To trudna, wymagająca wielu ofiar przeprawa.

Ale jest faktem — faktem nieodwracalnym — że w ciągu ostatnich pięciu lat dokonała się w literaturze polskiej zasadnicza przemiana kierunku poszukiwań. Możemy być optymistami, bo po raz pierwszy od długich dziesięcioleci wyszliśmy na spotkanie żywych, twórczych prawd o człowieku żyjącym w rzeczywistym świecie, o człowieku, który ten świat tworzy i który sam kształtuje swój przyszły los. Te prawdy chcemy przetworzyć w obrazy naszych książek i przekazać mu je w postaci opowieści o jego życiu spisanych jego językiem — aby zobaczył w nich swoją przyszłość, teraźniejszość i przyszłość na ogromnym tle walki o sprawiedliwość i wolność, jaką na całym świecie toczą miliony ludzi jemu podobnych. Albowiem od tej walki wzięje dziś pomyślny wiatr dla człowieka i ludzkości. Zadaniem nowej literatury, jej ambicją i godnością jest chwycić ten wiatr na swoje żagle.

Kazimierz Brandys



W tym roku Węgry obchodzą stulecie śmierci swego wielkiego rewolucjonisty, Szandora Petöfiego. 31 lipca r. 1849 Petöfi poległ śmiercią walecznych w bitwie pod Segeswarem, walcząc w węgierskiej armii rewolucyjnej, dowodzonej przez bohatera Ostrołęki i Wiednia, generała Józefa Bema. W uroczystościach ku czci Petöfiego w Budapeszcie reprezentowali pisarzy polskich: Tadeusz Breza, Władysław Broniewski, Stefan Otwinowski i Seweryn Pollak.

SZANDOR PETÖFI

### MOJ PEGAZ

Pegazem moim nie angielski koń,  
Wyamukły, wlotki z szudlowymi nogi;  
Nie moim stępek meklemburskich błoi,  
Niedzarny, wielki i ciężki do drogi.

Pegazem moim, kary jako mrok,  
Węgierski rumak, krwi maddziarskiej czystej;  
Z rozkoszą słońce swój zatapia wzrok  
W zwierciadle jego szerści jedwabistej.

Nie w stajni zrodzon, nie przechodził szkół,  
Jak konie stadnin i zawodów pańskich;  
Wzrósł bez wędzidła, karmia stępnymi ziół,  
Jam go na płaskach schwytał kiszkuńskiach.

I nie włożyłem siodła mu na grzbiet,  
Lecz tylko prostą okrył go derżycą;  
A gdy go dośladł, wlot się puścił wnet,  
O! bo mój kary — krewny z błyskawicą!

Najchętniej zwykł on pędzić ze mną w step,  
Bo tam wzrósł dzielny, bo tam był zrodzony;  
Gdy w pusztę zmierzam, w górę wznosi łeb,  
Rzy, kopie, parska, wietrząc łan zielony.

Gdy dom napotkam wśród pól i łąk,  
A przed nim dziewczą jako pszczołek roje,  
To bierę kwiatek z najpiękniejszych rąk  
I jako wicher pędzę w stepy moje.

A w tym polocie na rumaku mym,  
Co by w świat inny na mój głos minął cwałem,  
Łśni piana, para bucha zeń jak dym,  
Lecz nie znużeniem kipi on: — zapalem!

O! nie tak prędko trud go zwali z nog,  
I nie tak prędko zechce on wytchnienia;  
Bo wiele jeszcze przeżyć musi dróg,  
Nim dotrę granic mego życzenia.

Więc pędź, Pegazie, koniu drogi, pędź!  
Przez skały, rowy naprzód! dalej, dłużej!  
Aż tam, gdzie wszelka kończy się już chęć,  
Pędź, mój Pegazie, pędź na skrzydłach burzy!

Przełożył WŁADYSŁAW SABOWSKI

### RADZIECCY PISARZE I DZIENNIKARZE W POLSCE



W ostatnich dniach lipca bawiła w Polsce wycieczka radzieckich pisarzy i dziennikarzy: znany publicysta „Prawdy” D. Zaslavski, poeta i redaktor natelny tygodnika „Ogoniok” A. Surkow, redaktor działu literatury i sztuki w „Izwestiach” M. Tiurin, poeta białoruski M. Tank i poeta ukraiński L. Dmyterko. Gości radzieckich podejmowały Zarządy Główne Związku Zawodowego Dziennikarzy R. P. i Związku Literatów Polskich.

Na zdjęciu: uczestnicy wycieczki w obozie młodzieżowym w Turczynku.

### PIEŚŃ JUNAKA

Mój duch śni wciąż o krwawych dniach,  
Gdy stary świat zapadnie w zgłiszczę,  
A na tych gruzach nowy gmach  
I nowych staną dni bożyszczę.

Niech zabrzmia już, niech zabrzmia już  
Bojowych tręb rozgłosne tony:  
Wojennych burz, wojennych burz  
Pożąda duch mój, krwi spragniony.

Z radością skoczyłbym na grzbiet,  
Na grzbiet bystrego mego konia —  
W szeregu męnych byłbym szedł,  
Jak wicher przez skrwawione błonia.

Gdyby w pierś moją trafił strzał,  
Znajdzie się ktoś, co ją otuli,  
Znajdzie się ktoś, co będzie miał  
Całunków balsam przeciw kuli.

W kajdany wrzę gdybym wpadł,  
Odwiedzi ktoś mej celi ciemnie,  
Ponurych snów mych czarny świat  
Rozproszy jego wzrok tajemnie.

A gdybym zmarł, a gdybym zmarł  
Pod mieczem kata, czy śród bitwy,  
Znajdzie się ktoś, co wnet by stari  
Krew trupa mego — łąz modlitwy.

Przełożył ANTONI LANGE

KAZIMIERZ PIWARSKI

# Chamberlain w masce i bez maski

„W miłości, dobrobycie i w myśli o szczęściu w nagrodę za dobre uczynki przeżył błogie lata chłopięce, w cwej późno - wiktoriańskiej epoce, kiedy to zdawało się, że pokój i obfitość zapewnione są W. Brytanii, a kiedy postępy wiedzy służyły ich wzrostowi a nie zniszczeniu”.

Tymi słowami zaczyna profesor angielski Keith Feiling jeden z pierwszych rozdziałów swej biografii N. Chamberlaina<sup>1)</sup>. Daje to od razu pojęcie o książce, z jaką mamy do czynienia. W podtytułach każdego rozdziału podaje autor dokładnie, ile lat liczył sobie Chamberlain w omawianym okresie. Zamieszczono kilka jego fotografii: na rękach matki, w wieku młodzieńczym, w sile wieku, w latach późniejszych, w okresie piastowania różnych godności i celebrowania różnych uroczystości.

Tego rodzaju biografia przepełniona pietyzmem i adoracją dla „bohatera”, należy raczej do rzędu literatury hagiograficznej typu świeckiego: wyrosła z kultu osoby i jej klasy społecznej, służy też niewątpliwie interesom klasowym. Taki charakter książki należy przede wszystkim z punktu widzenia krytyki naukowej ustalić. Jeśli się nią zajmujemy, to po części dlatego, że stanowi ona dość typowy okaz tego rodzaju literatury. Ale ważniejsze jeszcze motywy skłaniają nas do poświęcenia jej uwagi. Autor zajmuje się obszernie rolą Chamberlaina, premiera brytyjskiego w latach 1937 — 1940, starając się przedstawić ją w sposób zdecydowanie apologetyczny. Rzecz prosta, że nad tą sprawą nie można przejść do porządku dziennego. Historia zainteresowała też materialy, którymi posługuje się autor dla przeprowadzenia swej tezy. Feiling miał dostęp do prywatnych papierów zmarłego w r. 1940 Chamberlaina, do jego notatek, korespondencji, w szczególności rodzinnej. Materiał ten cytując autor, oczywiście, tylko w wyjątkach i to wedle własnego doboru; znamienne jednak, że nawet w tych cytatach można znaleźć świadectwa przeciw tezie autora, dowody obciążające mocno Chamberlaina jako jednego z głównych winowajców drugiej wojny światowej.

## MŁODY CZŁOWIEK INTERESU

Neville Chamberlain pochodził z plutokratycznej rodziny, w Birmingham (urodził się tamże w r. 1869), której kilku przedstawicieli odegrało pewną rolę w najnowszymi dziejach W. Brytanii. Ojciec jego, Józef Chamberlain, dorobił się niemałego majątku na fabrykacji żelaza w Birmingham. Brał czynny udział w polityce jako typowy przedstawiciel imperialistycznej burżuazji angielskiej. Zrazu wybitny członek partii liberalnej (representant jawnie - imperialistycznej grupy liberalów), przeszedł następnie wraz z tzw. liberalami - unionistami do partii konserwatywnej. Zwalczając namiętnie wyodrębnienie Irlandii („Home Rule”), jako minister kolonii był zwołaniem ścisłej jednolitości imperium brytyjskiego, chronionego przed obcą konkurencją jednolitym systemem cel protekcyjnych. Przeświadczony o wyższości rasy germańskiej, sympatyzował żywo z Niemcami i opowiadał się przez jakiś czas raczej za porozumieniem anglo - niemieckim niż za koncepcją trójporozumienia anglo - francusko - rosyjskiego. Jeden z jego synów, Austen Chamberlain, przeznaczony był do kariery politycznej, podczas gdy Neville (młodszy syn Józefa, przyrodni brat Austena) miał zająć pozycję w wielkim przemyśle. Austen doszedł do stanowiska szefa partii konserwatywnej i był kilka razy ministrem. Jako minister spraw zagranicznych przyczynił się w r. 1924 do odrzucenia przez Anglię protokołu genewskiego w sprawie rozbrojenia, co oznaczało uchylanie się W. Brytanii od akcji zbiorowego bezpieczeństwa. Z jego też nazwiskiem związane jest osławione Locarno (1925). W swym zawsze wzorowo poprawnym stroju i obecności uchodził mógł za doskonały model zmierzwiłowanego arystokraty; jakkolwiek pochodzenia burżuazyjnego, wyniósł - podobnie jak Neville - z znanych angielskich kolegów snobizm i póżerstwo arystokratyczne.

Neville Chamberlaina za młodu rzucił się w eksperymentalną gospodarkę plantacyjną na wyspach Bahama, ale interesy szybko zbankrutował i wyłożone przez ojca tysiące funtów przepadał. Starczyło przecież jeszcze ojcowiskiej fortuny, aby usłać synowi wygodne gniazdko w przemyśle metalowym w Birmingham (w fabrykacji broni). Zadowolony z nowego w kraju, pełnił Neville nienagannie rolę „młodszego człowieka interesu o zainteresowaniach publicznych”. Niebawem zaczął myśleć o polityce „jako o karierze”. Na razie przyszło mu się ograniczyć do kariery lokalnej. Jako członek partii konserwatywnych został wybrany do rady miejskiej w Birmingham, objął funkcję ławnika, a niebawem doznał się wyboru na prezydenta (lord meyer) miasta (1915). W czasie wojny objął nawet na krótko stanowisko ministra służby narodowej („national service”, w r. 1917). W pierwszych wyborach powojennych zdobył z ramienia konserwatywnych mandat poselski i przez szereg lat zasiadał w Izbie Gmin w gronie konserwatywnych, dochodząc w końcu do stanowiska lidera partii. Dalsze sukcesy wyborcze konserwatywnych, które były następstwem zupełnego zamknięcia się lewicy angielskiej (wskutek zdrady Mac Donalda i całej grupy prawicowych socjalistów), zapewniały Chamberlainowi możność piastowania różnych tek ministerialnych. Tak więc był ministrem zdrowia w pierwszym i drugim gabinecie konserwatywnym Stanleya Baldwin (1923, 1924) oraz w rządzie tzw. „unii narodowej” Ramsaya Mac Donalda (1931). W tymże gabinecie zajął niebawem stanowisko ministra skarbu,

na którym zaznaczył swą działalność próbami ratowania budżetu angielskiego przed ogólnymi skutkami wielkiego kryzysu, jaki w owych latach wstrząsnął poważnie gospodarką kapitalistyczną. Zazwyczaj pełnego zaufania konserwatywów, Chamberlain zatrzymał tekę ministra skarbu również w trzecim gabinecie Baldwin; po jego dymisji, w maju r. 1937, stanął na czele gabinetu konserwatywnego i stanowisko premiera zajmował od lat trzy.

## WOLNA RĘKA HITLEROWI

Trzy lata — jakżeż brzemienne w wypadki! W chwili kiedy Chamberlain ujął ster polityki brytyjskiej, Japonia i Włochy faszystowskie weszły już otwarcie na drogę agresji a hitlerowski Niemcy gotowały się pośpiesznie do skoku na upatrzone ofiary. W innych krajach Europy panowała zupełna niepewność jutra. Uprawiana od szeregu lat przez państwa zachodnie polityka „nieinterwencji” ośmielała tylko państwa faszystowskie i zachęcała do dalszych aktów agresji. W tej sytuacji Związek Radziecki nawoływał nieustannie do zorganizowania akcji zbiorowego bezpieczeństwa i postawienia tamy agresorom. Jeszcze nie było za późno, jeszcze można było uratować pokój. Ale potrzebna była dobra wola mocarstw zachodnich, Francji i W. Brytanii. Czyż można było oczekiwać dobrej woli od rządu brytyjskiego, którym kierował Neville Chamberlain?

Napewno nie, bo jego cele były całkiem inne. Feiling pisze eufemistycznie, że Chamberlain nie miał wiary w powodzenie akcji zbiorowego bezpieczeństwa. Z opublikowanych przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych ZSRR materiałów („Dokumenty i materiały do genezy drugiej wojny światowej”), w szczególności z protokołów rozmów, jakie prowadził z Hitlerem zaufani dyplomaci Chamberlaina, Halifax i Henderson, jak też z raportów ambasadora niemieckiego w Londynie, Dirksena, wiadomo dostatecznie, że Chamberlain wyrażał się o wiele bardziej jasno i zdecydowanie, skoro sprawę zbiorowego bezpieczeństwa, obrony złączenia Ligi Narodów itd. określił jako czczą frazeologię, którą już dawno odrzucił. Chamberlain wyznaczył jako cel swojej polityki porozumienie z państwami „osi — Rzym — Berlin”, w szczególności z Niemcami. Rzecz prosta, że nie myślał przeciwstawiać się zbrojnie agresorom, lecz przeciwnie, uznawał konieczność ich „zaspokojenia” („appeasement”) — kosztem niepodległości względnie integralności terytorialnej państw mniejszych — Austrii, Czechosłowacji, Polski. Chodziło mu tylko o to, aby owe koncepcje brytyjskie (jak również francuskie, bo stopniowo uzaledniał coraz bardziej politykę Francji od dyktaw z Londynu) łączyły się z przeprowadzeniem jego zasadniczej koncepcji: zgodnego uregulowania spraw europejskich przez W. Brytanię, Francję, Niemcy i Włochy, podziału Europy na sfery wpływu, wraz z narzuceniem Europie arbitralnego dyktatu czterech mocarstw, przy równoczesnym wyeliminowaniu Związku Radzieckiego z polityki europejskiej. Jasne jest, że tego rodzaju polityka przyznająca w istocie Niemcom wolną rękę w Europie środkowej i wschodniej była skierowana przeciw ZSRR. Zasadniczym jej założeniem było, że Hitler, uznając status quo na zachodzie, uwidła się w wielką imprezę wschodnią, podejmie planowaną od dawna przez imperialistów angielskich, wypielegnowaną w mózgu Austena czy Nevilla Chamberlainów „krucjatę” przeciw Związkowi Radzieckiemu; odegra rolę „bandarza” kapitalistycznego świata, który zdusi w Europie socjalizm i komunizm, który obali czy przynajmniej poważnie osłabi ZSRR.

Nie ulega kwestii, że za politykę zagraniczną W. Brytanii odpowiedzialny był przede wszystkim N. Chamberlain. Nie przeczy temu Feiling, co zresztą było by niemożliwe wobec jaskrawych dowodów. Wystarczy choćby przypomnieć, że Eden, piastujący zrazu w gabinecie stanowisko ministra spraw zagranicznych, podał się w lutym 1938 r. do dymisji, a miejsce jego zajął Halifax (milszy Hitlerowi niż Eden), ściśle uzgadniający swe posunięcia z Chamberlainem. Wiadomo również, iż pod wpływem Chamberlaina dokonywał się odpowiednio zmiany w rządzie francuskim: w nowo utworzonym gabinecie Daladiera objął tekę ministra spraw zagranicznych G. Bonnet. Wiadomo wreszcie, że niektórzy posunięcia w dobie kryzysu wrześniowego 1938 r. na tle sprawy sudeckiej zaskakiwał Chamberlain nawet własny gabinet: tak więc z listów jego do siostry, opublikowanych przez Feilinga, wynika, że swą decyzję wyjazdu do Berchtesgaden podał najpierw do wiadomości Hitlerowi a dopiero później swym kolegom w gabinecie! W ogólności zaś wytyczne polityki uzgadniał w małym kole, przeważnie z Halifaxem i swym osobistym doradcą gospodarczym(!) Horacym Wilsonem. Trzeba wreszcie stwierdzić, że Chamberlain bynajmniej nie ukrywał swego autorstwa polityki „monachijskiej” — przeciwnie, nawet na nim wyraźnie chęłił w momencie swego rzekomego sukcesu, w dobie Monachium.

## 12.000 AKCJI

Feiling idealizuje cele polityki Chamberlaina. Znamienne, że popada przy tym w sprzeczność z wieloma obróbkami polityki „monachijskiej”, którzy starali się na swój sposób usprawiedliwić Chamberlaina; wedle nich premierowi chodziło tylko o zyskanie na czasie, o chwilowe zażegnanie burzy wojennej, aby W. Brytania mogła się tymczasem uzbroić itd. Wiadomo, że tego rodzaju teza nie wytrzymuje krytyki wobec jawnych dowodów, że właśnie Hitler — nie przygotowany do wojny z ewentualną koalicją europejską w r. 1938 — znacznie wzmoenił swą pozycję polityczną i swój potencjał gospodarczo-wojenny w wyniku Monachium i jego następstw. Ale nie

o to tutaj chodzi. Chcemy tylko zaznaczyć, że Feiling odznajduje się od takich obróbków polityki Chamberlaina, których argumenty oznaczają przypisywanie premierowi jakiegoś „machlawaizmu”. Wedle Feilinga zasadniczym motywem polityki premiera było gorące umiłowanie pokoju, pragnienie uregulowania pokoju europejskiego za cenę odpowiedniego „przystosowania Wersalu” (co za „niewinne słówko” na określenie oddania na pastwę hitlerowskiej agresji Austrii, Czechosłowacji, nie mówiąc już o podobnych zamiarach wobec Polski!); dia niego „ratowanie pokoju” było znacznie ważniejsze niż bilansowanie strategicznych zysków i strat! Zdanem Feilinga, Chamberlain był na wskroś przejęty umiłowaniem pokoju i ludzkości! Był jakby zahipnotyzowany wizją trwałego pokoju na świecie, jakiegoś „złotego wieku”, kiedy to dzieci radośnie bawią się i rosną, młodzi kochają się i żenią, dorośli koszą trawę i zwożą zboże do stodoł!

Nasuwają się tu analogie z pamiętnikami innego „monachijszycy”, G. Bonnet, który do ostatka jak wiadomo, sprzeciwiał się wstąpieniu Francji do wojny, czepiając się jeszcze jak tonący brzytwy nadziei na interwencję Mussoliniego w momencie, kiedy już armie hitlerowskie wkroczyły głęboko w ziemię polskie, w końcu jednak, kiedy W. Brytania ogłosiła stan wojenny z Niemcami, musiał Bonnet, choć z ociąganiem, zrobić to samo w imieniu Francji. Opisując swe wrażenia z owych chwil przełomu wspomina Bonnet, jak to mu żal było tego świata, „w którym przeżyliśmy najpiękniejsze lata, który pokochaliśmy najmiejnie”. „Przeżyłem kilka chwil niezwykłej emocji” — dodaje znany z niezwykłego cynizmu minister spraw zagranicznych Francji w chwili wybuchu wojny. Pojmował, że pewna karta dziejów została bezpowrotnie zamknięta. Dawny „dobry” świat kapitalistyczny już nie wróci, ostatnie jego władza trzeszcza niepokojąco. Szkoda tego wszystkiego — wzdycha — owych zysków z gry na giełdzie, dochodów bez pracy, luksusowych rozrywek!

Postawmy sprawę jasno. Chamberlain, broniąc rzekomo pokoju, bronił w istocie interesów monopolistów, do których kręgu sam należał, bronił swej klasy. Słusznie pisze o tym reprezentancie wielokapitałistycznej burżuazji i historyk amerykański F. L. Schuman: „Poważaj arystokrację i nawoływał masy do oszczędności. Interesy jego klasy były dlań wszystkim, dla tej klasy istniała Anglia, Imperium i cały świat. Wszystkie motywy jego polityki były uwarunkowane solidarnością klasową i ujęte w konwencjonalne i cieszące się ogólnym szacunkiem slogany. Hipokryzja była tanim trybutem spłacanym prawdziwej moralności. Takie było prawdziwe oblicze brytyjskich król rządzących i ich czolowego przedstawiciela — Chamberlaina. Wiadomo, że wszyscy ci ludzie mieli osobiste ściśle powiązania z wielkim kapitałem niemieckim. Chamberlain posiadał 12.000 akcji trustu „Imperial Chemical Industries”, który inwestował 1 miliard 700.000 franków w przedsiębiorstwo niemieckie I. G. Farben. Cała mentalność tych ludzi wyrosła z kręgu interesów klasowych, z powiązań międzynarodowego kapitału. Chamberlain i inni „monachijszycy”, broniąc rzekomo pokoju w istocie bronił interesów świata kapitalistycznego, chronili go przed stratami i wstrząsami, a równocześnie zachęcali Hitlera wyraźnie do rozpoczęcia wojny na wschodzie Europy. Zakłamaną nieraz wobec samych siebie, fałszywy obrońcy pokoju, byli w istocie podległymi do nowej wojny.

<sup>2)</sup> Bonnet G., Fin d'une Europe. De Munich à la guerre (Genève 1948), str. 367.

Zmarnowali jedyną okazję okiełzania zapędów agresorów przez przeciwstawienie im silnego frontu zbiorowego bezpieczeństwa — stali się w rezultacie winowajcami drugiej wojny światowej.

## NA CO LICZYLI IMPERIALIŚCI

Feiling stara się wyjaśnić pominięcie przez Chamberlaina ofert współpracy ze strony ZSRR, jak również późniejsze fiasko, pozornych zresztą, rokowań anglo-francusko-radzieckich w r. 1939 — głębokim niedowierzaniem, jakie żywił premier w stosunku do ZSRR. Zastręga się jednak, że premierem nie kierowały bynajmniej motywy jakiegokolwiek ideologicznego państwa: „niedowierzanie” wynikało z rzekomo z relacji militarnych i politycznych, jakimi dysponował wywiad brytyjski. Tego rodzaju wyjaśnienie brzmi wprost groteskowo w zestawieniu z faktyczną rolą, jaką następnie odegrał ZSRR w pogromie hitleryzmu. Feiling zalicza wreszcie w poczet legend twierdzenie, jakoby Chamberlain dlatego unikał wojny przy udziale Związku Radzieckiego, że obawiał się socjalnych konsekwencji katastrofy hitleryzmu. Tymczasem wszystkie dane źródłowe dowodzą właśnie niebieskie, że Chamberlain także właśnie żywił obawy. Nie on sam zresztą. W r. 1936 W. Brytania wolała podtrzymać Mussoliniego niż zgniebić go zdecydowanym zastosowaniem sankcji, gdyż bała się socjalnych następstw katastrofy faszystu. Wówczas był u steru konserwatywny rząd Chamberlain. W r. 1938 rząd Chamberlaina najwięcej się obawiał konsekwencji katastrofy hitleryzmu. Podtrzymywał Hitlera narazem z tej przyczyny, że chciał się nim posłużyć jako narzędziem do obalenia czy przynajmniej wykrwawienia Związku Radzieckiego. Co prawda, w kołach imperialistów zachodnich liczone na to, że wykrwawi się także Hitler. Ale to już kwestia inna. Różnica zdań w tej materii — kto dla kogo będzie wyciągał kaszany z ognia i kto ostatecznie przeżywa w bilansie strat i zysków, czyli rywalizacja imperializmów — doprowadziła we wrześniu 1939 r. do wybuchu drugiej wojny światowej.

Jak już wspomnieliśmy, cytowane przez Feilinga materiały z archiwum rodzinnego Chamberlainów (szczególnie listy premiera do siostry) świadczą w istocie w niejednym wypadku przeciw tezie autora biografii i pomagają do wyjaśnienia istotnych motywów postępowania premiera; stąd też mają pewne znaczenie dla historyka tej doby<sup>3)</sup>. Tak więc w listach prywatnych z okresu kryzysu wrześniowego r. 1938 Chamberlain podkreśla wyraźnie, że sprawę sudecką traktował jedynie jako kartę w ogólnej rozgrywce z Hitlerem, w której stawką było przeprowadzenie właściwego „planu” premiera; szerszego porozumienia z Hitlerem i uzgodnienia z nim dalszych poczynań na arenie europejskiej. Wcale też jasno widać, że premierowi chodziło szczególnie o wybranie dogodnego momentu zastosowania tego „zuchwałego środka”, jakim miała być podróź do Hitlera. W związku z tym czekał też na wzrost napięcia w ogólnej sytuacji międzynarodowej, nie starając się mu przeciwdziałać; przeciwnie, przez odpowiednią rezerwy sam przyczyniał się świadomie do potęgowania nastrojów wojennych, aby w szczytnym momencie kryzysu wystąpić w roli „zbawcy pokoju”. Takie efekty były mu bardzo potrzebne, skoro chciał na tym budować swą tekę o „ratowaniu pokoju” w ostatnim momencie: chodziło o przekonanie opinii pu-

blicznej w państwach zachodnich, że w podobnej sytuacji, na pięć minut przed dwunastą, poświęcenie Czechosłowacji dla „ratowania pokoju” nie było wcale ceną zbyt wysoką!

Listy premiera obnażają całą jego hipokryzję, pozwalają go nadto schwytać nieraz na zwykłym kłamstwie. Wiadomo, że przed swym odjazdem z Monachium, dnia 30 września r. 1938, podpisał deklarację anglo - niemiecką o nieagresji; w stosunku do samego układu monachijskiego (z daty 29 września) o rozbrojeniu Czechosłowacji, deklaracja ta stanowiła już dalszy krok na drodze do ogólnego porozumienia z Hitlerem. Otóż fakt podpisania tej deklaracji Chamberlain zataił nawet przed swym współtowarzyszem, premierem francuskim Daladierem, który o wszystkim dowiedział się dopiero po powrocie do Paryża — z radia niemieckiego. Rzecz jasna, teraz Daladier i Bonnet zwrócili się do Chamberlaina z wymówkami; że W. Brytania podpisała taką deklarację, to w porządku, przecież państwu zachodnim chodzi właśnie o pełne porzucenie z Hitlerem, ale dlaczego tylko sama, dlaczego bez wiedzy Francji? Chamberlain wyjaśniał, że podpisanie deklaracji wynikało niespodziewanie z końcowej rozmowy z Hitlerem, w czasie której stwierdzono zgodność zdań w zasadniczych kwestiach. W tej sytuacji, premier brytyjski uważał, że należy wyniki rozmowy utrwalic na piśmie, na co Hitler się zgodził: oto „proste wyjaśnienie” genezy owej deklaracji. Tymczasem w liście do siostry z dnia 2 października Chamberlain przyznaje, że tekst deklaracji miał już poprzednio przygotowany i tylko w toku rozmowy z Hitlerem wyjął go z kieszeni. Skoro miał czas na przygotowanie tekstu, to mógł również i powinien był poinformować o tym obecnego w Monachium swego partnera Daladiera. Niełojalność swego pokrywając następnie zwykłym kłamstwem. Dla uspokojenia Francuzów dał im wreszcie dobrą radę, aby postarali się rychno o podobną deklarację. Daladierowi i Bonnetowi nie trzeba tego było dwa razy powtarzać. Nie szczędzili wysiłków w tym kierunku i w rezultacie doszło 6 grudnia do podpisania w Paryżu deklaracji francusko - niemieckiej o nieagresji.

\*

Podobnych przyczynków do charakterystyki Chamberlaina znajdzie historyk zapewne więcej na kartach książki Feilinga. Nie mamy wcale wątpliwości, że książka ta znalazła powódzenie w sferach torysów, którzy czytają z nabożeństwem żywot jednego ze swych przywódców, „człowieka pokoju”, o którym nie należy źle mówić choćby dlatego, że usunął się z widowni politycznej w porę; trudno przecież wymagać, aby „człowiek pokoju” sprostał zadaniom prowadzenia wojny, o której sama myśl była dlań „wstrętna”. Przymiemy jednak, że Chamberlain usunął się dopiero 10 maja r. 1940, w następstwie ostrych ataków w Izbie Gmin na nieudolne prowadzenie wojny przez W. Brytanię, czego jaskrawym dowodem było fiasko imprezy norweskiej, którą Hitler ubiegł agresją na Norwegię. A więc dopóty był Chamberlain człowiekiem odpowiednim, dopóki w kołach rządowych państw zachodnich traktowano wojnę jako jeden z aktów w rozgrywce z Hitlerem, dopóki liczone na to, że przeciwleć dojdzie jeszcze do „roszadnej” wymiany zdań z Hitlerem, który w końcu pozostawi państwa zachodnie w spokoju i siederuje swój impet agresywny na — ZSRR! Kiedy jednak było już jasne, że Hitler nie myśli swej strategii uzgadniać z kimkolwiek, że jego najbliższym etapem jest zapewnienie sobie hegemonii również w zachodniej Europie, wówczas trzeba było pomyśleć o wojnie na serio. W tej sytuacji Chamberlain ustąpił. Czy w porę? — może dla Anglosasów, ale nie dla innych narodów Europy, które musiały przeżyć gehenną katę hitlerowskiej, które musiały swe straszne doświadczenia opłacić krwią i zniszczeniem. W oczach tych narodów Chamberlain jest i pozostanie zawsze jednym z głównych winowajców rozpętania drugiej wojny światowej.

Kazimierz Piwarski

## WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

### MOSKWA

(Fragment wiersza pt. „Nasze młodzieży”)

Towarzysze młodzieży,  
uwaga na Moskwę,  
na rosyjski nastawcie uszy!

Choćbym  
zgrzybiałym był Afrykaninem —  
i wtedy też się nie lenię  
rosyjski studiować

że językiem tym  
dłatego jedynie,  
mówił Lenin.

Kiedy  
burz armatnich Październik  
z bruku ulio

wówczas  
wytrysnął krwią,  
los się dopełnił

Tyflisów,  
Mińsków,  
Kijowów.

Moskwa  
dla nas  
to nie mocarstwowa

pęta,  
obce dusząca ziemię,  
Moskwę

nie dlatego, że Rosjanin, kocham,  
lecz jako świata nowego zarzewie!

## NAGRODA MUZYCZNA m. st. Warszawy



## GRAŻYNA BACEWICZÓWNA

znana kompozytorka i skrzypaczka, otrzymała nagrodę muzyczną m. Warszawy za całokształt działalności kompozytorskiej, wirtuozowskiej, organizacyjnej i pedagogicznej.

(1927)

Przełożył WIKTOR WOROZYLSKI

<sup>1)</sup> Feiling K., The life of Neville Chamberlain, London, Macmillan & Co LTD. (II wydanie, I wydanie w r. 1946).

HENRYK MARKIEWICZ

# Niedokończone obrachunki fredrowskie<sup>\*)</sup>

**K**RYTERIA marksistowskiej oceny dziedzictwa literackiego, na gruncie polskim nie zostały dotąd wypracowane z należytą precyzją. Wydaje mi się, że komedie Fredry byłyby materiałem bardzo odpowiednim do eksperymentów krytycznych z tego zakresu. Materiałem nietatym, ale rokującym interesujące rezultaty. Oto parę propozycji.

Komedie Fredry, które glyfikowały stosunki feudalne, a co najmniej — zacięły istotne konflikty okresu, demobilizowały ideologicznie społeczeństwo w dobie walk o niepodległość, te komedie spełniły niewątpliwie reakcyjną funkcję społeczną w ówczesnym stadium walki klasowej. To stanowi o negatywnej ocenie ich roli ogólnohistorycznej. Ale przy tym, w dziejach literatury ujmowanej jako odrębny (co nie znaczy wcale: niezależny genetycznie i odseparowany funkcjonalnie) szereg artystyczny, utwory Fredry są równie niewątpliwie krokiem naprzód — nie mieliśmy przedtem tak świetnych artystycznie komedii, to można przyjąć bez dowodu; odegrały więc w granicach tego szeregu — rolę postępową. W ogólnej jednak ocenie historyczno-literackiej dzieł Fredry — podkreślam — ta postępowość artystyczna nie może przeważać wsteczności funkcji społecznej.

Czy stanowisko marksistowskie pozwala zgodzić się z taką dwoistą oceną historycznej roli zjawiska literackiego? (tu dodać należy, że sprzeczność taka występuje w historii literatury jako fakt raczej wyjątkowy). Wydaje się, że tak. Analogie znaleźć można choćby w historii filozofii: zdarzało się niekiedy, że z reakcyjnych tendencji społecznych wyrastały zjawiska postępowe w rozwoju myśli filozoficznej (materializm Hobbessa, dialektyka Hegla) i na odwrót (religijna powłoka ruchów rewolucyjnych w w. XV, XVI i XVII).

A ocena Fredry ze stanowiska współczesnego? Czy i gdzie znajdują się w jego komediach wartości przemawiające do nowych warstw społecznych, które zdobyły sobie dostęp do dóbr kulturalnych? Odpowiedzi są różne. Pozostawmy poza dyskusję tę z nich, która się Fredry w ogóle wyrzeka. Ale można także zaproponować (i zaproponowano) „aktualizację ideologiczną” tych komedii przez wydobycie z nich pierwiastka satyry antyszlacheckiej, słowem zinterpretować je przeważnie mimo a czasem nawet wbrew intencjom autorów. Przed wojną zrobił to z „Panem Jowialskim” E. Kucharski, komentując go jako satyrę na marazm, tepotę i pasyżnicze bytowanie ziemiaństwa galicyjskiego. Ale Kucharski mógł to zrobić ze spokojnym sumieniem; uważał przecież, że taki był zamiar twórcy samego Fredry. To właśnie różni pozycję Kucharskiego od Boya, który kreśląc tak wyraziście ciemne strony świata szlacheckiego u Fredry, nie uważał go ani na chwilę za świadomego satyryka tego świata (przypominam tezę o daltonizmie moralnym).

Czy jednak tedy, przez tak daleko posuniętą deformację wizji twórczej Fredry, wiedzie droga do uczynienia jej bliską i zrozumiałą dla zdemokratyzowanej widowni teatralnej? Czy można i czy warto interpretować np. „Zemstę” jako ponurą satyrę na moralność warstwy szlacheckiej, „Pana Jowialskiego” jako zjadliwą ilustrację jej intelektualnego skarlenia, a w „Ślubach panińskich” wysunąć na plan pierwszy pasyżnicze próżniactwo bohaterów?

Odpowiedź na te pytania musi być przecząca. Przecząca, nie w imię jakiegos absołutnego szacunku dla intencji Fredry, bo cóż wart taki rodzaj szacunku dla pisarzy, który ich w wielu wypadkach wyłącza spośród twórców żywych — ale dlatego, że proponowana interpretacja komedii fredrowskich całkowicie ignoruje ich artystyczną specyfikę, a skutkiem tego paraliżuje siłę ich oddziaływania, opartą właśnie na pogodnym humorze, na upoetyczeniu przedstawianego świata. Jako satyry społeczne natomiast są one zupełnie nieprzekonywujące. Boy, który tak szybko dostzegł wszystkie cienie moralne i społeczne świata fredrowskiego, najscytepczniej patrzył na takie eksperymenty. Rzecz zmienna: Kucharski ogłosił swój komentarz do „Jowialskiego” w progę dwudziestolecia, ale żaden reżyser nie pokusił się o wystawienie komedii w tej interpretacji. Wątpliwie również, czy znajdzie się realizator teatralny podobnej koncepcji T. Peipera (patrz „Teatr” 1949, nr. 1). Jak pisał Boy: „Papier jest ciemny, można na nim wszystkiego dowodzić i wszystko wywodzić; ale scena to jest instrument bardzo czuły i dosyć rzetelny...”

Wniosek ogólniejszy z powyższych uwag: istnieją granice w interpretowaniu utworów literackich, wbrew intencjom autora dla celów percepcji estetycznej. Granice te znajdują się tam, gdzie nowa interpretacja

unicestwiłaby zasadnicze wartości estetyczne dzieła, nie wydobywając w zamian innych.

Cóż więc zrobić z ową tolerowaną a nawet rozgrzeszaną przez autora lichotą moralną jego szlacheckich bohaterów? Boy, akcentując to zjawisko, wyciągał z niego wnioski wręcz przeciwne tym, z którymi przed chwilą polemizowałem; zalecał pewne odrealnienie postaci i kolorytu komedii fredrowskich w teatrze (w ten sposób grano je w „Ateneum” Jaracza). Jeśli przedstawiony w nich świat ludzki — rozumował Boy — ztraci cechy rzeczywistej przeszłości polskiej, wówczas znikną a przynaj-

mniej osłabną opory emocjonalne zdemokratyzowanej widowni wobec bohaterów fredrowskich, wobec wyrozumiałości autora dla ich grzechów i wad. Inaczej — „jak tu żądać aby te wnuki poturbowanego murarza patrzyli na jasnie wielmożne figle pana cześnika z tym samym rzewnym sentymentem, z jakim np. patrzył na nie karmazyn Stanisław Tamowski”. Droga „Ateneum”, zaaprobowana przez Boya, była istotnie jedynym sposobem uratowania Fredry dla publiczności robotniczej i publiczności robotniczej dla Fredry, w państwie burżuazyjnym o tak silnych pozostałościach feudalizmu, jak międzywojenna Polska. Zasta-

nawiając się nad przyczynami niepopularności Fredry, pisał Boy w r. 1924: „Może właśnie tej przeszłości jeszcze za dużo w naszym obecnym życiu? Może za dużo się tłucze w Polsce jeszcze ducha szlacheckiego, tym tylko różnej od owej fredrowskiej, że straciła do szczeru wdzięk, humor i gest? Może i to jest ową przeszkodą? I może dopiero kiedy ów czerep rubaszny stanie się naprawdę muzealnym zabytkiem, wówczas... przemówi do wszystkich Polaków dusza anielska artysty Fredry”.

Zostawiając na stronie ową „duszę anielską” (znowu echa poetyzującej w prozie polonistyki), trzeba przyznać wiele racji Boyowi. Dziś, gdy „czerep rubaszny” szlachecki stał się przeszłością nieodwracalnie minioną i doszczętnie przewyższoną, zmieniają się perspektywy, w jakich odbiorca ludowy widzi Fredrę. Rewolucja ludowa oddała przysługę dziełom poety, pozabawiając je resztek społecznej aktualności. Nie trzeba się zaś lękać, że pobłażliwość uśmiech poety rozbroił ideologicznie masy pracujące w toczącej się walce klasowej. Wróg klasowy, dla którego uśmiech ów był przeznaczony, nie istnieje już jako klasa społeczna.

Znika więc potrzeba „odrealnienia” Fredry dla odbiorcy ludowego, która istniała w okresie międzywojennym. Poza tym — szkoda wyjąłować te utwory z pewnych elementów krytycyzmu wobec szlachty, jakie mimo wszystko u Fredry istnieją. Maksymalnie uwypuklić te elementy, nie zmieniając jednak zasadniczej perspektywy autora, aby nie z artysty jego nie uronić — jest zadaniem współczesnego teatru polskiego.

Nie na tej jednak płaszczyźnie — odkrywczych widzenia sprzeczności społecznych epoki — znajdują się główne wartości komedii fredrowskiej. Życie literackie i społeczne zapewnia jej komizm ukazanych tu „wiecznych” wad i słabości ludzkiego charakteru. Już słyszę, jak po przeczytaniu tych słów podnoszą się głosy aplauzu zwolenników koncepcji „wiecznego człowieka”, spod znaku „Tygodnika Powszechnego” i — głosy protestu poniektórych adeptów marksizmu, jak sądzę, zbyt upraszczających zagadnienia estetyczne. Śpieszę z wyjaśnieniem dla jednych i drugich. Cechy ludzkie, które skłonił jesteśmy niesłusznie absolutyzować jako „wieczne”, są to co najwyżej cechy wspólne psychiki ludzkiej wszystkich formacji gospodarczo-społecznych, opartych o własność prywatną. Mimo ogromne różnice w psychice człowieka antyku, feudalnego średniowiecza i kapitalizmu, mimo ogromne różnice w psychologii poszczególnych klas społecznych w obrębie jednej i tej samej formacji, takie wspólne cechy istnieją. „Dzieje całego dotychczasowego społeczeństwa poruszały się w prze-

ciwienstwach klasowych przybierających w różnych okresach różne formy. Jakiegokolwiek jednakże formy przybierały one, wyzysk jednej części społeczeństwa przez drugą był faktem wspólnym dla wszystkich ubiegłych stuleci. Nie więc dziwnego, że świadomości społeczna wszystkich stuleci, wbrew wszelkiej różnorodności i odmienności, porusza się w pewnych formach wspólnych; formach świadomości, które zanikną dopiero wówczas, gdy ostatecznie przestanie istnieć przeciwieństwo klasowe” (Marks i Engels, „Manifest Komunistyczny”).

Wskutek tego właśnie takie postacie literackie, jak Antygona i Żołnierz Samochwał, Otello i Harpagon, Julian Sorel i Anna Karenina, chociaż jak najbardziej związane przez twórców ze swym historycznym czasem, najdobitniej o nim świadczące, zarazem „odrywają się” od tego czasu, stają się bliskie dzisiejszemu czytelnikowi, który odnajduje w nich jakąś częścią siebie samego czy swoich współczesnych.

Wróćmy jednak do Fredry. Aktualność jego charakterów nie wymaga właściwie aż tak uogólniającego uzasadnienia (przeprowadziliśmy je świadomie „na wyrost”, bo wiem z dyskusji, że problemy te trapią niejednego młodego marksistę). Epoka komedii fredrowskich to schyłek feudalizmu i powolne zaczątki stosunków kapitalistycznych. Pewne cechy psychiki ludzi tych czasów odnajdujemy i będziemy odnajdować — w postaci relikwii — jeszcze dość długo w nas samych i w naszych współczesnych. Dlatego interesuje nas trzpiot Guccio, snob Geldiub, obłudnik Rejent, chciwiec Łatka, nie mówiąc już o (aż nazbyt jeszcze aktualnym!) „Wielkim człowieku do małych interesów”. Dlatego jest miejsce dla Fredry na scenach Polskiej Ludowej, jest miejsce dla Fredry w dziedzictwie kulturalnym, przemianowanym przez masy ludowe. Rzecz jasna, miejsce to będzie inne — można zdecydować: mniej znaczne — od tego, jakie przygotowywali nie tylko autorowi „Zemsty”, ale i hrabiemu Aleksandrowi Fredrze ludzie jego własnej klasy.

\*

Fragmentaryczność i szkicowość tych uwag, liczne pytania wśród nich rozsiane, są — jak mi się wydaje — znakiem nie tylko spraw nieprzebranych do końca przez piszącego te słowa, nie tylko jego osobistych wątpliwości i wahań. Do pewnego stopnia świadczą one, że obrachunki fredrowskie — bez cudzoziwa — są na dzisiaj nieskończone. Fredro czeka na nową formułę krytyczną. Pierwszy i znaczny krok ku niej zawdzięczamy książce Boya-Zeleńskiego.

Henryk Markiewicz

JAN SPIEWAK

\* \* \*

Samotnej fali szum jak wystrzał, który padł na wroga zanim zbiegł, na wydmach ślad armatnich luf pozostawiając. Worany w ziemię tłum i rąk i nóg i ust, korzeni ślepych drzew, strzaskanych muszli bezskrzydeła stada nieme na śliskim piasku sięją wiatr i sól.

W żrnięcach piasku i skamielin

samotnej fali szum.

bełkotem błędnych dróg przysnany, jak poprzec gniew i strach i mróz i ja przywlokłem się z zawiel, kiedy w galeziach nie gromady nagich paków ale kule drażyły korę dziobem zieloną nacinając krew aby płynęła z wolna z rozdartych i wędzących już oskrzeli.

Samotnej fali szum.

W wyschniętych łuskach słońce bursztyny kruszył sztorom, W lodzy chłastał trzeć, żywicą w korze tryskał. A w oczodolach ślepych skał granitem pieniła się kołyska — soczysty wil się kamień pieśniami powstających form.

Samotnej fali szum.

\* \* \*

Moja matka, która mieszka w chmurze, mówi codzień do mnie:

Dalam ci oczy — abyś mógł dojrzeć,  
Dalam ci palce — abyś mógł szukać,  
Dalam ci serce — abyś mógł wierzyć,  
Dalam ci żonę — abyś mógł istnieć.

I ubiera codzień żonę w strój owoców.  
I ubiera żonę codzień w strój gałęzi.  
I ubiera żonę codzień w strój wiatru.

W strój uśmiechu, w strój czułości nienazwanej.  
Mówi matka, która mieszka w chmurze:

Oto owoc, oto gałąź, oto wiatr,  
Oto liść, który w dłoniach moich rośnie,  
Aby cień po tobie nadal trwał  
W rozdzwonionych włosach syna.

I ubiera syna codzień w strój mej krwi,  
W strój czułości żony w gniazdach oczu,  
I ubiera syna codzień w strój mądrości,  
W strój rozważi, w strój doświadczeń doskonałych.

Moja matka, która mieszka w chmurze...

WIKTOR WOROZYLSKI

## O MIŁOŚCI — GAWĘDA CHAOTYCZNA

Zapalony logicznie, powiesz „bujda” — i myślisz, żeś zdołał ją spłoszyć! A pewien student w Łodzi popełnił samobójstwo — nie z semantyki przecież — z miłości!

Komu opowiadać! Znamy się bliżej, nie odeślesz jej najsprawniejszą z poczt: tyle lat, z wywieszonym jeżorem, jak wyżej, tropię metafory dla czyichś oczu.

Nie, nie zrozumiem, że jestem za samobójstwami, pewnie — kobieta zmienna jest, cierpienia młodego Werthera, ale gdyby go spotkał, powiedziałbym: — Co z wami, Kolego, Wertherów nie potrzeba nam teraz!

Na prawdę — nie trzeba, nie warto! Skąd ten pośpiech szaleńczy? Decyzji nie zdążyliście rozważyć dobrze! ...Nie, z zasady nie jestem zwolennikiem śmierci, lecz miłości?... Miłości — owsem!

Tamte oczy — nie zawsze są do uśmiechu skóre — któż wykupi na radość patent? Ale to — wybacz — inne zupełnie historie, jak mawiano za kapitalizmu: „drywać”.

Więc wróćmy do nieszczęśliwej miłości studentkiej: świat o miedzę, a włos się jeży — to dopiero dziwy! Matecznik cnot na wydaniu, wdychających do posagu młodzieńców, śmieszna kraina firanek i fotografii rodzinnych...

Tatusz handluje walutą, mamusia konfitury wyczynia najprzemysłniej i plotkuje z ciocią, tajemnie się puszczają kulturalne ocy, a syn, student... — z miłości przez okno wyskoczył!

Przekonywać? Śmiać się? Zadoleni z sensacji, mlaskają i żwawe odprawiają misteria. Proszę przerwać natychmiast! Przyszedłem oświadczyć, że, moim zdaniem, to nie miłość, lecz mieszczańska histeria.

Fakt, bywa, każdego odwiedza karawaniarz wieców w śliskim cylindrze melancholii. Ale z miłości? — u n a s

z miłości zwoluje się wiec, gdzie zebrani postanawiają lata wysiłkiem gonić.

Zebrani — to ja, w towarzyszach ustokrotniony, skąd wynika, że sami zakochani, — zakochani, jak słońce naprzekór dżdżystym dniom, jak robotnik naprzekór sarkającej kamalii.

Zakochani, jak — (a propos, właśnie ze Śląska wracam, — ot, taki sekretarz Partii w Opolu, towarzyszu Mrocheń, tego nie pytaj o miłość: przyrzekł się jego pracy, a sam rąbniesz poemat pod tytułem „Kocham”).

O, miłość rośnie szybko, jak trasa Wu — Zeł, widziałeś narodziny tej arterii gorących uczuć? Dziś nawet z trzeciej strony gazety można wielkiej miłości się uczyć.

Ze mną tak zawsze: zaczynam lirycznie, a jak się rozpędzę, — niby agitator ryzę, lecz to okres widocznie taki — liryki, basem ryczące!

Jam facet prosty. Piszę dla takich, jak ja. O subtelniaków apolitycznych nie dbam. Czy wam, towarzysze, tłumaczyć, że miłość, sztuka i życie równa się nowy i lepszy świat, a w nim dom zbudowany, pole zorane i książka wierszy — nasza, dobra, potrzebna!

Z nas rzadko który podziwiał zabytki w Konstantynopolu i w Rzymie, rzadko który słyszał symfonie światowej sławy orkiestr, a przecież wiemy, jak świetnym architektem i dyrygentem jest bystrocki entuzjasta-inżynier, który wnosi żelbetowe Colloseum w szacelińskim parcie.

Tak i z tymi oczyma! Jeśli kiedyś prawdziwą opowieść zaczęło o ludziach mocnych, zuchwałych, co w mym kraju chwycili za ster, będzie tam i o młodych, co się kochają inaczej, niż nasz studentki: bez pozy, filantropii i histerii.

I wtedy — znajdę dla oczu metafory, której już nie oderwać — konieczną, upartą. Czy znajdzie?... już znalazłem: O c y, j a k ś w i a t, c o s t o i d l a n a s o t w o r e m. O c y i ś w i a t k o c h a ć t r z e b a i w a r o.

Wiersz wyjęty ze zbiorku pt. „Śmierci nie ma!”, który w najbliższym czasie ukaże się nakładem Sp. Wyd. „Książka i Wiedza”.

\*) Zob. poprzedni (31) numer „Książki”.

ANATOL GIDAS

# PETŐFI I POEZJA WĘGIERSKA

Petőfi, prawdziwie ludowy poeta, odziedziczył najlepsze tradycje i dążenia czołowych pisarzy węgierskich, którzy tworzyli przed nim. Dziewiętnastoletni Petőfi pisze z początku pod wpływem Baizy i Vörösmartyego. Ale już w jego młodzieńczych wierszach pojawiają się oryginalne obrazy i zwroty, które później jeszcze nabrały mocy i usunęły z jego poezji obce naleciałości. Jednym z najbardziej charakterystycznych dla tego przełomowego okresu był wiersz „Z oddali”; metryka jego nosi na sobie jeszcze ślady wpływu dawnych poetów, ale treść pełna jest obrazów czysto petőfiowskich.

Jakież więc zagadnienia stawały wówczas przed Petőfim w zakresie rytmiki i rymowania? Starowęgierskie wierszowanie, węgierska pieśń ludowa ma z natury charakter zgłoskowy. Istnienie długich i krótkich zgłosek w języku węgierskim umożliwia wprawdzie używanie metrycznego wiersza, ale akcent metryczny często nie zgadza się ze zwykłym akcentem wyrazów węgierskich. Co się tyczy rymów, to Janos Aranyi, przyjaciel Petőfiego i największy mistrz węgierskiej sztuki wierszowania, tak pisze: „Język nasz w porównaniu z innymi językami europejskimi jest biedny, jeżeli chodzi o rymy. Przyczyna tego kryje się, moim zdaniem, w fakcie, że w innych językach europejskich wyrazy przy odmianie zachowują swą zasadniczą formę, a u nas zawsze dobierają przystawki, powtarzanie zaś przystawek nie może dać dobrego rymu”. Poprzednicy Petőfiego pisali głównie wiersze metryczne i starali się używać „czystych rymów”. A Petőfi, poznawszy z pieśni ludowych prawdziwy charakter rymu i rytmu węgierskiego wiersza, wprowadził do swoich poezji sylabizm i asonansy.

Przed wszystkim wszakże Petőfi dążył do zbliżenia z poezją ludową, zarówno pod względem treści, jak i ducha swych wierszy. Jego piosenki rodzajowe pisane są tak czystym językiem ludowym, że wiele z nich stało się odrazu pieśniami ludowymi.

Petőfi przyswoił sobie wszystkie osiągnięcia współczesnej mu węgierskiej sztuki wierszowania, zarówno w dziedzinie języka, jak w dziedzinie rytmu i rymu, ale bardzo szybko, zgodnie ze swymi politycznymi i estetycznymi przekonaniami, odrzucił wszystko, co uważał za obce węgierskiej poezji. „Cokolwiek by mówiono — prawdziwą poezją jednak jest tylko poezja ludowa i tylko ona powinna zapanować. Jeżeli lud zapanuje w poezji, zbliży się też do panowania w polityce — a to jest przecież zadaniem teraźniejszości” (z listu do Janosa Aranyi z roku 1847).

A jeśli chcesz opiewać

Swą własną radość i cierpienia,  
To nie profanuj świętych strun —  
Cóż wtedy wart twój trud tworzenia?

Formułując swoje credo estetyczne pisze: „...A że mnie już taki człowiek, że dla prawdy gotów jestem poświęcić nawet piękno. To co prawdziwe, to naturalne, a co naturalne to i dobre, a tym samym i piękne. Oto moja estetyka”.

Petőfi opiewa „pusztę” — węgierskie stepy — i odkrywa w nich nie tylko poetyckie piękno. Nieobjęte przestrzenie stepowe są dla niego pierwowzorem wolności. Lecz, jako realista, opisuje nie tylko piękno puszczy samo w sobie, ale i życie w niej tętniące. I tutaj Petőfi występuje jako przeciwnik poezji romantycznej, która rozpyliła się nad nienacknymi w niebiosach górami jako symbolem oderwania od codziennego życia.

We wczesnym lirycznym cyklu „Gałęzie cyprysu” można jeszcze wyczuć ślady tego romantyzmu, ale nawet tu przenika surowy realizm i prostota pieśni ludowej.

Wiersze, poświęcone żonie oparte są również na poezji ludowej. Strofy te pełne

są zawartej w pieśniach ludowych bezpośrednio, czystości i ludzkości. („W końcu września”, „Znow jesień”).

W życiu Petőfiego był okres, gdy nie tyle nurtował go pesymizm, ile męczyło jakieś chorobliwe przeżywanie „odwiecznych” cierpień człowieka. Z tego okresu pochodzi cykl „Chmury”. Czym wytymaczyć ten krótkotrwały okres twórczości, która choć piękna, stanowi jedynie drugorzędny kierunek w jego poezji?

Mniej więcej w pierwszym półroczu 1844 roku Petőfi zdobył ogólne uznanie i stanął na takiej wyżynie, jakiej nie osiągnął przed nim żaden węgierski poeta. Po długich wędrówkach pracował spokojnie około 6 miesięcy. Aż nagle góra błota, przygotowywana w kołach reakcji, zwała się na niego. Dwudziestodwuletni poeta z początku walkę przystąpił, lecz nie wytrzymał przesładowań i w końcu uciekł z Pesztu. Młodzieńczy entuzjazm Petőfiego nie mógł nawet dopuścić myśli, że taka podłość jest możliwa. Zdawało mu się, że jego poezja dociera do wszystkich zakątków Węgier, że wszyscy go szanują. I dopiero teraz wyraźnie przekonał się, że istnieją rozmaici Węgrzy: jedni — zdecydowana większość — to naród węgierski, drudzy to reakcyjniści, którzy występują przeciw wszystkiemu, co zagraża ich przywilejom i ich władzy. Węgierscy reakcyjniści szybko wyczuili w Petőfim wroga i odrazu zdali sobie z tego sprawę, że za nim stoi cały naród. I wypowiedzieli Petőfimu bezlitosną wojnę. To, czym się poeta najbardziej szczylił — honor, patriotyzm, szlachetność duszy, samozaparcie — brak tych wszystkich cnót wytykała mu reakcja, która po-

siadała w swych rękach większość prasy krajowej. Petőfi odczuł to bardzo dotkliwie; wyjechał na wieś, by przemyśleć wszystkie wydarzenia. Dzięki temu ujrzały światło dzienne krótkie wiersze-aforyzmy z cyklu „Chmury”. Lecz Petőfi bardzo szybko wyzwoił się z nastroju, w jakim wiersze te były pisane. Wyjście to znalazł w walce.

Cykl „Chmury” był obłokiem dymu powstałego z tęczą się w nim utajonej wielkiej energii, i gdy tylko Petőfi znalazł właściwą drogę, nastroj panujący w tych wierszach rozwił się, jak rozwiewają się chmury.

Nawet erotyki Petőfiego są przeniknięte marzeniem o wolności:

Miłość i wolność —

To wszystko, czego mi potrzeba...

U Petőfiego słowo „wolność” posiada zupełnie inne znaczenie niż u jego poprzedników. Gdy Berchenyi, Kelcsen i inni poeci pisali w swych wierszach o wolności, mieli na myśli niepodległość narodu, którą Węgrzy utracili w roku 1526. Petőfi również pragnął wyzwolenia Węgier, lecz dla niego słowo „wolność” oznaczało, wraz z wyzwoleniem narodowym, także walkę uciśnionego ludu z panami. Między „Witeziem Janosem” Petőfiego dawnymi piekikami utworami węgierskiej poezji istnieje również głęboka różnica. „Witeż Janos” to ludowa opowieść, przez którą przewija się realizm prawdziwego życia ludu. Opierając się na ludowej legendzie, Petőfi stworzył swego rodzaju odyseję chłopaka ze wsi, którego los gna-

ł przez mnóstwo krajów, który pozostaje wierny swojej miłości i w końcu triumfuje nad wszystkimi przeciwnościami życia.

Możliwe, że w tym triumfie, w tym pokonywaniu wszystkich trudności, nawet w tym świecie dobrych wróżek, tkwi symbol przyszłości: wielka i wieczna, nieśmiertelna siła ludu obroni swą prawdę, swoje prawo do życia. W „Witeziu Janosie” poeta uzmysłowił całą niewyczerpaną moc ludu, który w ostatecznym obrachunku „jeśli będzie panować w poezji, przybliży się i do opanowania polityki”. „Witeż Janos” — to zakończenie cudownej drogi węgierskiej baśni ludowej.

Petőfi stał się dzięki swym wierszom ojcem duchowym rewolucji 48 roku, lecz gdyby nie rewolucja 48 roku, wielu ze swych utworów nie byłoby mógł napisać.

Petőfi posiadał swe tradycje, tradycje narodu węgierskiego. W twórczości jego dźwięczał głos całych Węgier a nie kasty obszarńskich i dżurawców. Petőfi opisywał teraźniejszość narodu węgierskiego i położył podwaliny pod jego przyszłość.

To o co obwiniano Petőfiego, było jego największą zasługą. Przed wystąpieniem Petőfiego węgierski język literacki (z wyjątkiem niektórych wierszy) mocno różnił się od języka ludu węgierskiego. Petőfi wniósł do literatury, do poezji, język ludu, stworzył — rzecz jasna nie bez oparcia o poprzedników — nowoczesny węgierski język literacki.

Przed wystąpieniem Petőfiego człowiek pracy w najlepszym razie wchodził do literatury węgierskiej jako temat przypadkowy. Zniżano się do niego w momentach „laski”, poklepywano go po ramieniu. W

każdym zaś wierszu Petőfiego ustami poety przemawia lud.

Petőfi był pierwszym pisarzem na Węgrzech, który dotrzymał kroku biegowi czasu — dlatego też sięgał wzrokiem dalej niż wszyscy inni, dlatego też tradycje węgierskiej literatury tak pięknie skryształizowały się w jego utworach.

Petőfi był poetą prawdziwie węgierskim. On to pierwszy wniósł do poezji węgierskiej uczucie troski o losy całej ludzkości, miłość do niej i bojową gotowość powstania w jej obronie. Jako Węgier nie mógł nie wyczuć, że los jego narodu zależy od wyników walki postępowych społeczeństw, że trzeba wziąć udział w tej walce.

Petőfi był człowiekiem wielkiej pracy: nazwa zawiera oczywiście i pojęcie jakości.

Petőfi zginął mając lat 26 i w czasie swego krótkiego, pełnego przeciwności życia, napisał około tysiąca wierszy, parę poematów, powieść, sztukę sceniczną, pamiętnik, kartki z podróży, szereg artykułów politycznych. Tłumaczył również wiersze, powieści, sztuki teatralne (m. in. Szekspira).

Petőfi był wodzem politycznym narodu. „Petőfi wyprzedził naszą erę” — pisze o nim Jokay — ale szedł taką drogą, którą bezwzględnie przejść musiał cały naród węgierski”.

Zarówno w życiu, jak w swych wierszach Petőfi nienawidził każdego, kto zagradzał drogę do postępu, a że żył w roku 1848, nienawidził arystokratów, obszarńków, dynastie, Niemców, którzy z Węgier uczynili swą kolonię, i wszystkich ich zauszników.

Anatol Gidas

MICHAŁ SAŁTYKOW-SZCZEDRIN

## L I B E R

W PEWNYM kraju żył liberał, a przy tym tak szczerzy, że nikt jeszcze nie rzekł słowa, a on już wydziera się na całe gardło: „Ach, panowie, panowie! co wy robicie! przecież gubicie sami siebie!” I nikt nie gniewał się za to na niego, przeciwnie, wszyscy mówili: „Niech uprzęda, — dla nas to lepiej!”

— Trzy czynniki, powiedział, powinny być podstawą każdego społeczeństwa: wolność, bezpieczeństwo i inicjatywa. Jeśli społeczeństwo pozbawione jest wolności, to znaczy, że żyje bez ideałów, bez żywej myśli, nie mając podstaw dla twórczości ani wiary w przyszłe losy. Jeśli społeczeństwo uświadamia sobie, że jest niezabezpieczone, nakłada to na nie ciężko przygnębienia i czyni je obojętnym na własny los. Jeżeli społeczeństwo pozbawione jest inicjatywy, staje się niezdolne do zorganizowania swoich spraw, a nawet stopniowo zatracza pojęcie o ojczyźnie.

Tak myślał liberał i, trzeba powiedzieć prawdę, myślał słusznie. Widział, że wokoło niego ludzie biątkają się jak strute muchy i mówił sam do siebie: „To dlatego, że nie czują się budowniczymi własnych losów. To kajdaniarze, do których i szczęście, i nieszczęście przychodzi bez jakiegokolwiek z ich strony przewidywania, którzy nie oddają się bez reszty swoim wrażeniom, ponieważ nie mogą określić, czy istotnie są to wrażenia, czy też jakieś fantasmagorie”. Słowem, liberał był głęboko przekonany, że jedynie wspomniane trzy czynniki mogą stanowić dla społeczeństwa trwałe podstawy i spowodować wszystkie inne dobrodziejstwa, konieczne dla rozwoju życia społecznego.

Nie dość na tym: liberał nie tylko myślał szlachetnie, ale rwał się do szlachetnych czynów. Najbardziej utajonym jego pragnieniem było, aby promień światła, który rozjaśniał jego myśl, przeciął otaczające go ciemności, rozjaśnił je i wszystko co żyje nasycił zadowoleniem. Wszystkich ludzi uważał za braci, wszystkich jednakowo wzywał, aby się upajali pod skrzydłami jego umiłowanych ideałów.

Pomimo że dążność do przeniesienia ideałów z dziedziny empiirejów na grunt praktyczny nie całkiem załatwiała prawomówność, to jednak liberał tak szczerze gorzał, a przy tym był tak miły i uprzejmy dla wszystkich, że chętnie wybaczano mu nawet nieprawomówność. Umiał z uśmiechem powiedzieć prawdę, a tam gdzie trzeba, udać prostaczka i błysnąć bezinteresownością. A najważniejsze nigdy niczego nie żądał przyskakując do muru, lecz zawsze tylko w miarę możliwości.

Oczywiście, wyrażenie „w miarę możliwości” dla gorliwości jego nie było szczególnie zaszczytne, ale liberał godził się z tym, po pierwsze — dla ogólnego dobra, które zawsze było u niego na pierwszym planie, a po drugie — dla zabezpieczenia swoich ideałów przed niepotrzebnym a przedwczesnym zaprzeczaniem. Ponadto wiedział, że ideały, którymi się kieruje, mają charakter zbyt oderwany, aby w bezpośredni sposób wpływać na życie. Co to jest wolność? bezpieczeństwo? inicjatywa? Wszystko to są określenia oderwane, które trzeba napełnić całkowicie realną treścią, aby społeczeństwo w rezultacie mogło zakwitnąć. Określenia te przez swą ogólnikowość mogą wychowywać społeczeństwo, mogą podnosić poziom jego ufności i nadziei, lecz nie mogą przynieść realnej pomysłowości, która daje bezpośrednio poczucie zadowolenia. Aby osiągnąć tę pomysłowość, aby uczynić ideał dostępnym dla wszystkich, trzeba zmienić go na drobne i w tej dopiero postaci stosować przy leczeniu gnębiących ludzkość schorzeń. Właśnie tu, przy rozmięczeniu na drobne, samo przez się tworzy się to wyrażenie: „w miarę możliwości”. Wyrażenie to z pomiędzy dwóch ścierających się ze sobą stron, jedną zmusza w pewnym stopniu do rezygnacji z jednolitości, a drugą — w znacznym stopniu do ograniczenia swoich wymagań.

Wszystko to doskonale rozumiał nasz liberał i zdobywszy sobie w tych rozważaniach punkt oparcia, uzbroidł się do walki z rzeczywistością. Przede wszystkim zwrócił się do ludzi uświadomionych.

— Wolność — chyba w tym nic nie ma nagannego? — zapytał.

— Nie tylko nie ma nic nagannego, ale jest to godne pochwały — odrzekli ludzie świadomi — przecież to tylko są oszczerstwa, które rzucają na nas, że nie pragniemy wolności; w istocie tylko o nią się troszczymy... No, oczywiście w granicach...

— Hm... „w granicach”... rozumiem! A co powiecie, panowie, o bezpieczeństwie?

— I to jest pożądanym... Ale, oczywiście, również w granicach.

— A co sądzicie o moim ideale społecznej inicjatywy?

— Tego nam tylko brakowało. Ale oczywiście również w pewnych granicach. No cóż, jak w granicach, to w granicach! Sam liberał doskonale rozumiał, że nie można inaczej. Puscie konia bez uzdy, to w jednej chwili tak nabroń, że nie naprawi się, tego później przez lata! A co do uzdy — to święta rzecz! Idzie koń i ogłada się; a niechże cię, koniu, zdziele batem... o tak!

I zaczął liberał działać „w granicach”: tam urwie, tu urnie, a gdzie indziej całkiem się schowa. A ludzie wiedzący patrzyli na niego i nie mogli się nacieszyć. Przez pewien czas tak zapalili się do jego roboty, że można było pomyśleć, że i oni stali się liberałami.

— Działaj! — zachęcali go — to omiń, owo stuszaj, a tamtego w ogóle nie poruszaj, i wszystko będzie dobrze. Radził bismy cię, mój przyjacielu, wpuścić jak koźla do sadu, ale sam widzisz, jakim żywopłotem otoczony jest nasz sad!

— Widzę, widzę — zgadzał się liberał — ale tak mi wstyd burzyły swoje ideały! tak wstyd! ach, jak wstyd!

— No, to powstrzymaj się troszeczkę: wstyd

oczu nie wytrzeź! za to w miarę możliwości doprowadzisz bądź co bądź do skutku swoje przedsięwzięcie!

Jednakże, w miarę jak dochodziło do skutku w edle możliwości liberalne przedsięwzięcie, świadomi ludzie domyślali się, że nawet w tej postaci ideały liberała nie pachną różami. Z jednej stro-

ny wszystko pomyślane zostało zbyt szeroko, z drugiej — nie dość jeszcze dojrzało, nie było gotowe do przyjęcia.

— Nie na nasze siły są te twoje ideały! — mówili do liberała ludzie świadomi — nie jesteśmy przygotowani, nie wytrzymaemy!

I tak szczegółowo i dokładnie wylizali wszystkie swoje niemożliwości i podłości, musiał się jednak zgodzić, że istotnie, w przedsięwzięciu jego tkwi jakiś fatalistyczny błąd: nie wiazi w spodnie i basta.

— Ach, jakie to smutne! — utyskiwali na los.

— Dziwakul — pocieszał go ludzie świadomi — masz czego płakać! Czego ci trzeba? — zapewnić przyszłość twoim ideałom? — przecież my ci w tym nie przeszkadzamy. Tylko się nie śpiesz, na miłość boską! Jeżeli nie można „w miarę możliwości”, to zadowolnij się tym, że wywojujesz „choć cokolwiek”. Przecież „choć cokolwiek” też jest coś warte. Powoli, powoli, bez pośpiechu, i z modlitwą — spojrzysz, a jedną nogą już będziesz w światni! Do światni od chwili jej wybudowania nikt nie zaglądał, a tyś wziął i zajrzał... Dziękuj Bogu i za to.

Nie ma co, trzeba było i na to przystać. Jeżeli nie można „w miarę możliwości”, to należy urwać przynajmniej „choć cokolwiek” i za to też być wdzięcznym. Tak też liberał postąpił i w krótkim czasie tak przywykł do swej nowej sytuacji, że sam się dziwił, jak mógł być tak głupi i sądzić, że możliwy jest jakiś inny zakres. Przyszedł mu z pomocą także różne porównania. Ziarno pszeniczne też nie od razu daje płon i także robi czerwiele. Najpierw trzeba je wsadzić w ziemię, potem czekać aż się w nim odebędzie proces rozkładu, potem pusić kietek, który będzie wegetował „choć cokolwiek” — siedzi i czeka. Tylko że czeka i czeka, a „choć cokolwiek” jakoś nie kiekuje i tyle. Czy na kamień trafiło, czy w gnoju zeprzało — idź tu człowieku, domyśl się!

— Z jakiegoż to powodu? — mamrotal liberał z wielkim pomieszanem.

## ODZNACZENI ORDEREM „SZTANDAR PRACY” ZA



Helena Bobińska



Helena Boguszewska



Stanisław R. Dobrowolski



Melania Kierczyńska



Jan Kott



Jan Aleksander Król

EGON NAGANOWSKI

## PIÓRO ANNY SEGHERS

**G**DY Netty Reiling (ur. w r. 1900 w Moguncji) ogłosiła w r. 1928 pod pseudonimem Anny Seghers „Powstanie rybaków z St. Barbara” („Der Aufstand der Fischer von St. Barbara” nowe wyd. Weimar, 1947) odniosła od razu duży sukces, uzyskując największą nagrodę literacką Niemiec — nagrodę im. Kleista za rok 1929. „Powstanie” — to niewielka, sto kilka stron licząca powieść opisująca nieudany bunt rybaków z osady św. Barbary położonej w jakimś bliżej nieokreślonym kraju przeciwko wyzyskowi ze strony potężnego towarzystwa połowców Bredela i S-ki. „Powstanie rybaków z St. Barbara” jest czymś pośrednim między powieścią społeczną a rybacką sagą. Twardzi, małomówni rybacy-marynarze, borykający się z morzem i biedą, kobiety i dzieci wynędzniali i głodne, wiatr, mgła, słońce i słone powietrze skalistego wybrzeża, osada z karczmą, miejscem zebrań, wspólnych narad i wspólnego milczenia — wszystko to narysowane z dużym realizmem posiada zarazem charakter ludowego prymitywu odwołującego się do nowoczesnej autorki. Seghers dostosowała tu środki wyrazu do przedmiotu, jest równie oszczędna w słowach i powściągliwa, równie prosta jak prosta jest zbiorowość, którą opisuje i którą faktycznie należy uważać za bohaterkę utworu.

Dwa lata po „Powstaniu” przełożonym na kilka języków i sfilmowanym później w Związku Radzieckim przez Piscatora, ukazał się tom nowel pt. „W drodze do poselstwa amerykańskiego” („Auf dem Weg zur amerikanischen Botschaft”). Opowiadania te cechuje silna skłonność do stylizacji. Konflikty społeczne lub polityczne

wprawdzie już autorkę zajmują, ale formalistyczne dealektowanie się oryginalnym, chwilami wręcz dziwacznym opisem bezwzględnie góruje. Dopiero w ostatniej noweli, w „Chłopach z Hruszowa”, wsi położonej na Ukrainie Zakarpacie, walka toczona po zakończeniu pierwszej wojny światowej, została nakreślona jasnym, realistycznym stylem odrzucającym zbędne, nie wnoszące szczególnej ozdoby. Realistyczna konstrukcja losu ludzkiego z „Powstania” uległa tu pogłębieniu przez czasowe, geograficzne i polityczne umiejscowienie akcji. Zamieszanie do stosowania pewnych środków artystycznych obcych realizmowi, będzie wprawdzie i nadal cechowało twórczość Anny Seghers, ale odtąd, od „Powstania” i „Chłopów z Hruszowa”, w żadnym utworze nie naruszy już ogólnej, realistycznej linii.

Idea międzynarodowej solidarności uciśnionych, idea wspólnego frontu antyfaszystowskiego ludzi pochodzących z różnych krajów, która w opowiadaniu tytułowym tomu „W drodze do poselstwa amerykańskiego” postąpiła raczej do przeprowadzenia formalistycznej koncepcji, rozrosła się niebawem pod piórem Anny Seghers do rozmiarów powieści o „Towarzyszach” („Die Gefährten”, 1932, nowe wyd. Berlin, 1949) rozgrywanej się w kilku faszystowskich państwach, na Węgrzech, w Polsce, w Bułgarii i we Włoszech, oraz na emigracyjnych szlakach między Wiedniem, Berlinem a Paryżem.

O ile w „Powstaniu” realistyczny styl Anny Seghers tchnął nawet w dramatycz-

nych chwilach akcji epickim spokojem, o ile tam autorka zdawała się patrzeć na wypadki z perspektywy oddalenia, o tyle tu chwytła przedmiot z bliska, wydobywała zeń mocne akcenty. „Towarzysze” ginące od faszystowskich kul i cierpiąc w faszystowskich więzieniach tchną optymizmem niezłomnego bohatera, odnoszą moralne zwycięstwo. W powieści tej autorka stawia też odważnie problem emigracji, który niebawem, za czasów Hitlera, nabrał tak wielkiej i palącej aktualności dla dziesiątków tysięcy Europejczyków. Chodziło jej szczególnie o niebezpieczeństwo stracenia kontaktu z krajem ojczystym. „Nie może nas spotkać nic straszniejszego — ostrzega Chińczyk Liau — jak przestać rozumieć, co się w domu dzieje. To jest tak, jak gdyby serce znalazło się w zupełnie innym miejscu, poza ciałem”.

„Towarzyszami” Anna Seghers pożegnała się na 14 lat z ojczyzną. Opuszczywszy Niemcy w r. 1933, niedługo po objęciu władzy przez Hitlera, przebywała krótki czas w Pradze, gdzie zakładała razem z Oskarem Marią Grafem i Wielandem Herzfeldem jeden z pierwszych emigracyjnych miesięczników literackich „Neue deutsche Blätter” a potem osiedla się w Paryżu. Tu należy do założycieli i czynnych członków antyfaszystowskiego Związku Pisarzy Niemieckich (Schutzverband Deutscher Schriftsteller), który się ukonstytuował w październiku 1933 pod honorową prezurską Henryka Manna. Podczas wojny domowej w Hiszpanii Anna Seghers odwiedza ten kraj, pisuje do frontowych i ściennej gazet republikańskich. Ogłasza swe prace i książki w wielu krajach Zachodu i w ZSRR.

Już w r. 1934 ukazuje się w Amsterdamie „Nagroda od głowy” („Der Kopflohn”) powieść o małej wsi niemieckiej, opanowanej przez hitlerowców, którym przewodzi SA-mann Zillich, postać doskonale uchwycona, jeden z przyszłych bohaterów „Siódmego krzyża” i noweli pt. „Koniec z tomu „Wycieczka umarłych dziewcząt”. W „Nagrodzie” Zillich zaczyna karierę a jego ofiarą pada jako jeden z pierwszych młody antyfaszystowski robotnik fabryczny, który uciekłszy z miasta szuka schronienia wśród robotników rolnych na wsi.

Obok tragedii niemieckiej zajmuje Anne Seghers w tym okresie tragedia Austrii pod rządami Dolfussa, małego dyktatora, który przygotował nadejście wielkiego tyrana — Hitlera. Powieść „Droga przez luty” („Der Weg durch den Februar”, Paryż 1935) opisuje nieudane powstanie austriackich robotników z r. 1934. Bohaterem tej powieści jest naród, jego część postępuje, żąda wolności. I to do tego stopnia, że występujące postacie zlewają się z sobą, może nawet zbyt mało pozostają w pamięci czytelnika. Ten zarzut podniesiony przez Berndtsona („Die humanistische Front”, Zurich 1946) nie wydaje się istotny. Natomiast inne spostrzeżenie tego krytyka i historyka niemieckiej literatury emigracyjnej jest niewątpliwie trafne. Dotyczy ono rozbieżności akcji na zbyt drobne fragmenty; „niezliczone strzępy wypadków nie zrastają się w ogólny obraz, brak, wszystko ogarniającego rytmu, któryby połączył poszczególne melodie życia i walki w rewolucyjną symfonię”. Autorka nie panuje dostatecznie nad rozległym materiałem. Uda się jej to dopiero w „Siódmym krzyżu”.

Anna Seghers zawsze poszukuje prawdy — obiektywnej, społecznej i politycznej. O to jej też chodzi w „Ratunku” („Die Rettung” 1934, nowe wyd. Berlin 1947). Na treść obszerniej, przeszło 600 stron liczącej powieści rozgrywanej się w Zagłębiu Ruhry składa się długa, ukazana na szerokim tle droga rębacza Bentscha, wierzącego katolika, do obozu antyfaszystowskiego. Straciwszy tak jak wielu innych pracę w latach kryzysu i bezrobocia, Bentsch z męczącą powolnością zdobywa wiedzę o społecznych i ekonomicznych powiązaniach

przeżywanego dramatu — narzuconej bezczynności, rozbitcia robotniczej solidarności przez walkę o chleb, narastania także wśród górników nastrojów prohitlerowskich.

W „Nagrodzie od głowy” i „Ratunku” Seghers opisała rzeczywistość, którą jeszcze znała z autopsji. Dała artystyczne dokumenty o źródłach i rozprzestrzenianiu się hitleryzmu w Niemczech. Powieści te nie sięgnęły jednak poza rok 1933, nie objęły czasów, gdy nowa władza zdolała już zapuścić głębokie korzenie. Uczynił to dopiero „Siódmy krzyż” („Das siebente Kreuz”, 1939) dzieło, które rozszkwało imię autorki na całym świecie — zostało dotychczas przełożone na 19 języków, w samej Ameryce osiągnęło 600 tys. nakładu, a film nakręcony na jego podstawie przez emigranta Freda Zimmermanna z Spencerem Tracy w roli tytułowej wywołał sensację. Mamy tu do czynienia z obrazem Niemiec hitlerowskich, jakiego nikt inny przedtem ani potem nie zdołał z równą wnikliwością i uczciwością nakreślić. Seghers udowodniła, że przebywając za granicą doskonale sobie zdaje sprawę z tego, co „się w domu dzieje”. Obawy Chińczyka Liau z „Towarzyszy” okazały się w zastosowaniu do niej samej niezasadnione.

Powieść dzieje się w r. 1937 i opisuje losy siedmiu więźniów, którzy uciekli z obozu koncentracyjnego w Westhofen (prawdą nazwa Osthofen) położonego w pobliżu Frankfurtu n/Menem, starając się ująć pogoni. Udać się to ostatecznie tylko jednemu z nich, mechanikowi Jerzemu Heislerowi; przeznaczony dlań „siódmy krzyż” na placu obozowym nie doczekał się swej ofiary. Na Heislerze skupia się pozornie głównie uwaga autorki, jego dramatyczne przeżycia stanowią jednak tylko oś opowiadania, dookoła której rzeczywistość III Rzeszy narasta w sposób niezwykle plastyczny i pełny. Dzieje innych zbłądzących i uciekających obraz. Nie w tym obrazie nie jest przypadkowe, wszystko ma sens i uzasadnienie. Seghers dokonuje obrachunku sumienia narodowego, wnikliwie i sprawiedliwie ukazuje stan faktyczny ówczesnych Niemiec. Nie cofa się przed prawdą — jest wierna zasadniczej linii całej swej twórczości.

A prawda dostrzeżona i oddana przez autorkę jest gorzka. Dotyczy to przede wszystkim szerokiego mas społeczeństwa niemieckiego. Całe społeczeństwo „biorą udział w pościegu zarządzonego przez gestapo; bliższa i dalsza okolica obozu przeobraża się natchmiast w „jeden system żywych pułapek”. Do makabrycznego polowania z nagonką dają się włączyć nie tylko fanatycy hitlerowcy i żądni nagrody szubrawcy, ale też jednostki skąd inąd przyzwyczajone i spokojne. Czym się to tłumaczy? Oto władze hitlerowskie przez zrzeczną propagandę zdołały wpoić w szarych obywateli przekonanie, że mieszkańcy obozów koncentracyjnych są rzeczywicie zbrodniarzami niebezpiecznymi dla otoczenia i że trzymanie ich za drutami jest czymś równie naturalnym, jak zamykanie obłąkanych w odpowiednie zakłady. Szczególnie młodzież, odgrywająca niepoślednią rolę w tropieniu „kryminalistów”, nie żywi co do tego najmniejszych wątpliwości. Wśród wrogiej lub w najlepszym wypadku obojętnej masy są oczywiście i tacy, którzy z pobudek ściśle ludzkich litują się potrosze nad ściganymi, lecz u tych działa znów strach przed donosem, przemocy, obzewładniający strach przed wszechmocnym i wszechwiedzącym gestapo. Są przekonani, że „tych nieboraaków” i tak jutro złapią, a wtedy choćby najdrobniejsza okazana im pomoc przyniesie jedynie zgubę całym rodzinom. Dlatego też tylko w odosobnionych wypadkach zdobywają się na podanie zbiedzom pomocnej ręki. Seghers ukazując prawdę o społeczeństwie niemieckim w Trzeciej Rzeszy, nazywając bez osłonek rzeczy po imieniu, oskarża jednak nie tyle ludzi, ile nieludzki system.

Wreszcie pozostają ci najmniej wtedy liczni, ci, którym Seghers w r. 1939 zadeedykowała książkę: Niemcy antyfaszyści. W jakim świetle ukazała ich autorka? Z rozpaczyliwego szukania dawnych towarzyszy przez usiłującego się wywikłać z sieci Heislera, z całego przebiegu akcji jasno widać, że antyfaszyści w Niemczech roku 1937 jako zorganizowana siła prawie już nie istnieli. To jeszcze jedna smutna prawda, prawda najsmutniejsza, którą Seghers — antyfaszystka — odważnie odsłoniła w książce. Po zaarrestowaniu względnie wymordowaniu aktywu komunistycznego w początkach III Rzeszy, towarzysze poszli w rozsypek, wiaty płomień oporu tli się już tylko głęboko w serech poszczególnych jednostek oddzielonych od siebie murem nieufności. Pod naciskiem terroru, wobec postawy ogółu społeczeństwa i mnożących się wypadków zdrady przyjęto taktykę biernego przetrwania, ukryto się pod tak grubą maską, że w końcu to, co chciano skrzętnie zataić i przechować u wielu zagasało zupełnie lub przekształciło się w piękne, lecz mgliste i dalekie wspomnienie. Również ci ludzie, którzy po długich i dramatycznych perypetiach, po pokonaniu niesłychanych trudności skontaktowania się między sobą i przelamaniu wzajemnej nieufności uratowali Heislera umożliwiając mu wyjazd za granicę, trwali od lat w zawieszeniu, przeważnie nie spotykali się, nie podejmowali żadnej akcji, względnie — jak w wypadku Roedera — przeszli na stronę hitlerowską i dopiero w związku ze sprawą Heislera ocknęli się. Dotyczy to nawet starego działacza Hermanna, który pozostał wierny idei, lecz dawno już przestał być aktywnym bojownikiem. Uderzający jest fakt, że Heislerowi pomaga, początkowo zupełnie chaotycznie, garstka osób z własnej inicjatywy, z poczucia dawnej solidarności, a nie zorganizowana grupa czy komórka. Dlatego też współtowarzysz Heislera, wspomniały człowiek i komunista, Ernst Wallau, który zorganizował ucieczkę z obozu, mógł się oprzeć tylko na pomocy żony i został przychwycony. Antyfaszyści z „Siódmego krzyża” są tragicznie osamotnieni, brak im kierownictwa, to na co się zdobyli dla Heislera, było w danych warunkach rzeczywiste bohaterstwem. I tym bohaterstwem jednostek ukazanych ucieknie, bez wyolbrzymienia i patosu, bez stwarzania mity, Anna Seghers uratowała swoją i naszą wiarę w zbłąkany i otumaniony naród niemiecki, wiarę w jego lepszą przyszłość.

W r. 1940, gdy wojska hitlerowskie zajęły Paryż, Seghers uciekając przed poszukującym ją gestapo przekradła się przez linie demarkacyjne do Marsylii i — tak jak tysiące emigrantów z różnych krajów — wszczęła denerwujące starania o wyjazd z Europy. Nieustannie zagrożona, w ciągu kilku miesięcy czekała na potrzebne papiery, pozbawiona kontaktu z dziećmi przebywającymi w innej części Francji i z mężem przytrzymanym w jakimś francuskim obozie, zdobyła się na artystyczne przeustransponowanie dziejących się wokół niej i przeżywanego osobiście wypadków. W ten sposób powstała częściowo w Marsylii, częściowo w drodze do Meksyku powieść pt. „Tranzyc” („Transit” — wyd. zrazu po angielsku i hiszpańsku, po wojnie po niemiecku, Konstancja, 1947). Nie wchodząc bliżej w powikłania sensacyjne, chwilami wręcz awanturniczej akcji, o której opowiada w pierwszej osobie i ex post były uciekinier z kacetu, zresztą typ spryciarza a nie bojowego antyfaszysty, trzeba stwierdzić, że autorka wyśmienicie uchwyciła atmosferę przelotowego miasta, jakim była ówczesna Marsylia. Tłumy emigrantów, dobijające się do konsulatów wszystkich nie wojujących państw świata, walczące o „visa de sortie”, wizy przejazdowe, tzw. tranzyty, i wizy wjazdowe, o miejsca na okrętach, o tymczasowy dach nad głową, ulegające zmiennym nastrojom i padające ofiarą fantastycznych plotek, wstające co-

(Dokończenie na str. 6).

Przełożył SEWERYN POLLAK

## A L

— Właśnie to jest powodem, że sięgasz zbyt głęboko — odpowiedział człowiekowi. — A tymczasem lud nasz jest słaby, podły. Ty do niego z sercem, a on właśnie ciebie utopił by w tyżce wody. Trzeba mieć wielkie doświadczenie, żeby w stosunkach z tym ludem zachować czystość!

— Zlitujcie się! co tu teraz mówić o czystości! Z jakim to zapasem wyruszyłem w drogę, a skończyłem na tym, że po drodze całkiem go pogubiłem. Z początku działałem „w miarę możliwości”, potem zjechałem na „choć cokolwiek” — czyż można, wyrosło w zdźbło, wykłosił się itd. Przez ile cudów musi przeżyć ziarno, zanim da stokrotny plon! Tak samo i tu, w pogoni za ideałami. Wsadziłeś w ziemię „choć cokolwiek” — siedź, człowieku, i czekaj.

No i właśnie: wsadził liberal w ziemię na jeszcze dalej iść pod górę?

— Oczywiście, że można. Nis chciałbyś, na przykład, „odpowiednio do podłości”?

— Jak to?

— Całkiem zwyczajnie. Ty mówisz, że przyniosłeś nam ideały, a my mówimy: doskonale; tylko jeżeli chcesz, abymy ci współczuli, to działaj odpowiednio.

— Więc?

— To znaczy, że z ideałami się nie wystawiaj, ale skróć je wedle naszej skali i działaj odpowiednio. A potem, możliwe, że i my dojrzymy w tym jakąś korzyść. My jesteśmy, bracie, też kuci na cztery nogi, widzieliśmy, jak nam świeciła baka. Niedawno generał Krokodilow tak samo nam się przedstawiał: panowie — powiada — moim ideałem jest ciupał przez bardzo! Uwierzylimy z głupia, a teraz siedzimy u niego pod kluczem.

Usłyszawszy te słowa, liberal poważnie się zastanowił. I tak już z jego pierwotnych ideałów zostały tylko etykiety, a tu jeszcze przypisują im bezpośredniość podłości. Przecież w ten sposób człowiek nie zdąży obejrzyć się, a sam stanie się lajdakiem. Boże! daj rozeznanie!

A ludzie świadomi, widząc jego zadumę, zaczęli go również przypierać do muru. Jeżeliś, liberale, nawarzył piwa, to już się nie mądrz, waz do końca! Tyś nas wprowadził z równowagi, więc sam obdarz nas dobrodziejstwami... Działaj!

Zaczął więc liberal działać. A wszystko odpowiednio do podłości. Spróbuję czasem skrócić w bok, ale świadomy człowiek zaraz go za rękaw; gdzie zerkaś, liberale? patrz prosto przed siebie!

W ten sposób mijaly dni za dniami, a wraz z nimi postępowała naprzód sprawa rozwoju „odpowiednio do podłości”. O ideałach nie było już mowy, została sama obrzydliwość — a liberal wciąż nie tracił otuchy. „No to co z tego, że swoje ideały wytartatem po uszy w błocie? Za to ja sam stoję nieknięty jak kolumna! Dziś tarzam się w błocie, a jutro wyjrzy słoneczko, wysuszy błoto — i ja znów jestem suchem nad suchy!” A ludzie świadomi słuchali tych jego przechwałki i potakiwali: właśnie, właśnie!

I oto szedł pewnego razu liberal po ulicy ze swym przyjacielem i jak zazwyczaj rozprawiał o ideałach i wystawiał się ze swą mądrością. Naraz poczuł, że brzyźnemu na policzek kilka kropli. Skąd by to mogło być? Spojrzył liberal w górę, czy aby deszcz nie pada? widzi jednak, że na niebie nie ma ani chmurki, a słoneczko jak postrzelone jarzy się w zenicie. Wierzyły co prawda powiewa, ale ponieważ wylewanie pomyj z okien nie jest zalecane, więc i na tę operację nie można skierować podejrzania. Coż to za cud! — powiada liberal do przyjaciela — deszcz nie pada, pomyj nie ma, a mnie na twarz coś bryzga!

— Bo widzisz, tam za rogim ukrył się pewien człowiek — odrzekł mu przyjaciel — to jego sprawką! Zachciało mu się plunąć na ciebie za twoje liberalne postępy, a zrobić to prosto w oczy nie miał odwagi. No i „odpowiednio do podłości” plunął zza rogu, a wiatr ci obryzga!

Michał Saitykow-Szedrin

Przełożył Seweryn Pollak

## ZASŁUGI W DZIEDZINIE LITERATURY I KRYTYKI



Wacław Kubański



Józef Morton



Ewa Szelburg-Zarembina



Adam Ważyk



Stanisław Wygodzki



Kazimierz Wyka

# BALET W SŁUŻBIE IDEI



S. N. Golowkina



I. W. Tichomirnowa



W. P. Wasiljewa



N. A. Kapustina



A. M. Messerer



J. W. Hofman



W. A. Preobrażenski



L. A. Pośpiechin

## PIÓRO ANNY SEGHERS

(Dokończenie ze str. 5)

dziennie z nowymi nadziejami i układające się codziennie do snu z rozpaczą po nowych rozczarowaniach — wszystko to ukazane w losach trzech głównych i wielu drugoplanowych postaci, autorka opisała płynnym, pełnym prostoty i zacięcia stylem. „Tranzyt” to pasjonująca lektura, choć raz i jednostronnym przedstawieniem emigrantów tylko jako zastraszonych, przeważnie egoistycznych i małostkowych uciekinierów; nie ma wśród nich aktywnych antyfaszystów, ożywionych wołą walki.

Ci ostatni zjawiają się znów w zbiorze nowel pt. „Wycieczka umarłych dziewcząt” („Der Ausflug der toten Mädchen” — pisanie w Meksyku, niem. wyd. Berlin, 1948). Spotykamy tu w dłuższym opowiadaniu zatytułowanym „Die Saboteure” trzy postacie z „Siódmego krzyża”, m. in. Hermanna oraz Bentscha z „Ratunku”. Od r. 1937 liczba antyfaszystów jeszcze bardziej zmalała i nie przejawiano już żadnej działalności. Dopiero napaść Hitlera na Związek Radziecki popchnęła trzech ludzi pod przewodnictwem Hermanna i za milczącą zgodą kilku innych do czynu. Pracując w fabryce amunicji dokonał sabotażu, wypuszczając pewną ilość wadliwie skonstruowanych granatów ręcznych, za co — gdy rzecz się po 2 latach wydała — Hermann został stracony, a dwaj inni wymknęli się tylko przez to z rąk gestapo, że zginęli tymczasem w szeregach Wehrmachtu na froncie.

W tym samym zbiorze (nowela pt. „Konięć”) dokonał się też los dawnego kata antyfaszystów Zillicha z „Siódmego krzyża”; rozpoznany po wojnie przez byłego

więźnia, ucieka, ukrywa się przed alianckimi władzami, doznaje ze strony szeregu osób o wiele większej pomocy, niż kiedyś Heisler, i w końcu popełnia samobójstwo.

Nowela tytułowa zajmuje się problemem hitleryzmu od strony moralnej (dawnie wzięły czulej przyjaźni łączące grupy szkolnych koleżanek przemieniają się w obojętność, wrogość, zdradę) i w ten sposób uzupełnia wielką analizę prychiki Niemców w III Rzeszy, której autorka dokonała w poprzednich utworach.

W kwietniu 1947 r. Anna Seghers wróciła po 14 latach życia na obczyźnie do kraju i osiedliła się w Berlinie. Przywoziła kilka rozpoczętych prac, m. in. powieść pt. „Umarli pozostają młodzi” („Die Toten bleiben jung”), która niebawem ma się ukazać w druku. Obecnie autorka pracuje nad obszernym tomem opowiadań poświęconych częściowo walce o wolność Murzynów na Antyllach. Niewielu jest chyba pisarzy w których twórczości motyw buntu i wyzwolenia się uciskanych klas, ras i ludów odgrywałby równie wielką rolę, jak u Anny Seghers. To jest istotna treść prawie wszystkich jej dzieł — dzieł bojowniczkich o lepszą i sprawiedliwszą przyszłość dla ludzi na całym świecie. Największą jej troską są oczywiście ojczyźne Niemcy; zdaje sobie doskonale sprawę, że tu właśnie najwięcej bodajże jest jeszcze do zrobienia i do odrobienia. Dlatego też pisarka, zawsze żywo odczuwająca odpowiedzialność społeczną na ludziach pióra, dokłada wszelkich starań, by przyczynić się do demokratycznej reedukacji swoich rodaków, do odpowiedniego wychowania młodzieży, „aby —

Potrąfię tylko w sposób raczej osobisty napisać o tym. Taniec jest sceniczną manifestacją muzyki i nie bezpośrednio, ale poprzez muzykę uplastycznia literackie treści. Dlatego wydawanie sądów wymaga dość specjalnej i skomplikowanej znajomości rzeczy. Czuję się w tym wypadku uprawniony jedynie do wypowiedzenia wrażeń, jakie wywierały na mnie poszczególne obrazy całego widowiska.

Na premierze obrazów tych przesunęło się przed oczyma bardzo wiele, był to koncertowo zbudowany program, który swą różnorodnością pokazał całe bogactwo możliwości i tendencji artystycznych, przygotowując widownię do większych widowisk w następnym dniu występów gościnnych w Warszawie i w innych naszych miastach. Jednocześnie ta bogata, prawdziwie szeroka w swych treściach różnorodność pozwalała odnosić rozmaite wrażenia i trafiała do rozmaitych upodobań wśród przepełnionej widowni. Niezwykły poziom techniczny oparty niekiedy na matematycznych wprost rygorach baletu klasycznego, wspaniała umiejętność tańca — to było to, co zdumiewało i zachwycało nie tylko u Lepieżyńskiej, Preobrażńskiego czy Kapustiny ale niemal we wszystkich obrazach koncertu.

Wśród obrazów o prawdziwie potężnej sile wypowiedzianych znaczeń, takie, jak Albeniza „Miotacze granatów”, a jeszcze bardziej Asafiewa „Taniec Basków z baletu Płomień Paryża” — były pozycjami, które rzeczywiście wstrząsały swą głęboką i wspaniałą w tańcu wydobytą treścią. Między sobą zresztą bardzo różne w ujęciu. „Miotacze granatów” — to pełna bezpośredniego realizmu scena walki dwóch żołnierzy radzieckich przeciw niewidocznemu, ale nie niewiadomemu wrogowi. Tancerze Bielży i Mieczkenko wydobyli z tej sceny tyle jednoznacznego wyrazu, że nie można było mieć żadnych wątpliwości co do momentu historii, wyrażonego w ich tańcu. Umieli pokazać treść swego tańca z perfekcją i siłą.

„Taniec Basków” — kondensacja nastroju rewolucyjnego Paryża — sięgał w ujęciu do symbolów, do wielkiej pasji wewnętrznej. Duży zespół z wybijającymi się na czoło tancerzami dał obraz, pozostawiający wrażenie prawdziwie potężne. Wśród tancerzy wyróżniał się swym tańcem Borisow, a dwie tancerki — Galecka i Wasiljewa — jedna gwałtowna jak płomień, druga niezmiernie jak Nike — tworzyły postacie centralne z porwijącą siłą wyrazu. Była to scena dla mnie z całego koncertu najwspanialsza.

Specjalną pozycją — wśród najlepszych — był Cwasmana „Piłkarz”, odtąńczony Messerera. Ten groteskowy obraz futbolisty w ferworze gry piłkarskiej rozentuzjazmował całą widownię trafnością swej satyry.

Widzieliśmy balet o podwójnej sławie. Balet sławny na całym świecie ze swych wielkich tradycji i wielkiej szkoły — balet sławny, jak cała dziś sztuka radziecka, ze swego głębokiego oddania wielkim postępowym ideom społecznym. Najlepsze pozycje z tych, które widziałem, były całkowicie godne tej sławy.

Juliusz Zulański



Zasłużona artystka RSFRR laureatka nagrody Stalinowskiej S. N. Golowkina i J. F. Hofman w baletcie „Wschodnia Fantazja”



Zasłużony artysta RSFRR laureat nagrody Stalinowskiej A. M. Messerer w tańcu groteskowym „Piłkarz”



Zasłużony artysta RSFRR laureat nagrody Stalinowskiej, A. M. Messerer, zasłużona artystka RSFRR B. P. Wasiljewa i M. L. Gotlib w baletcie „Ocean i perły”



Zasłużona artystka RSFRR laureatka nagrody Stalinowskiej S. N. Golowkina, J. F. Hofman, L. T. Zdanow, J. T. Zdanow i L. A. Pośpiechin w Adagio z baletu „Śpiąca królowna”



W. J. Bielży, E. A. Mieczkenko w tańcu „Miotacze granatów”



Zasł. art. RSFRR W. F. Galecka, zasł. art. RSFRR N. A. Kapustina, zasł. art. RSFRR W. P. Wasiljewa, zasł. art. RSFRR A. I. Raduński, B. I. Borysow, G. K. Tarabanow i artyści baletu w polskich tańcach narodowych

Egon Naganowski

MARIUSZ MARGAL

# Kryzys literatury w Austrii

„Wielki tydzień” Andrzejewskiego okazał się w Austrii p.t. „Die Karwoche” w przekładzie Jana Oskara Tauschńskiego, nakładem wielkiego wydawnictwa „Zwei Berge-Verlag” w ilości 3000 egzemplarzy. Krytyki były bardzo pochlebne a wydawca zadowolony, bo w ciągu pierwszego miesiąca sprzedano ogółem prawie 500 książek! W sześciomiesięcznej Austrii już pięciotysięczny nakład należy do rzadkości, a 1000 sprzedanych egzemplarzy świadczy o niewątpliwym sukcesie książki.

Gdy mowa o kryzysie literatury w Austrii, krytycy literaccy przypisują winę wydawcom. Cena egzemplarza, 20 do 40 szylingów, poważnie ogranicza zasięg książki; trudno się dziwić robotnikowi lub urzędnikowi, że nie wydaje na kupno książki 10 proc. swego miesięcznego zarobku. Polityka lukusowych wydań świadczy zresztą o tym, że wydawca chciał się oprzeć wyłącznie na czytelniku mieszczańskim, zamożnym i snobistycznym. Ale zamożny mieszczanin dzisiejszego Wiednia w niewielkim stopniu przypomina bogatego kupca lub przemysłowca cesarsko-królewskich Austro-Węgier, który posiadał ambicje docierania do „wyższych”, tytułarnych sfer towarzyskich i społecznych po przez ogłódkę kulturalną i zewnętrzną blachę wiedzy. Mieszczanstwo spauperyzowane, znacznie biedniejsze, tym bardziej nie kupuje książek — jeżeli czytają, to raczej za pośrednictwem prywatnych bibliotek i wypożyczalni.

Z zestawienia danych bibliotek prywatnych (bardzo niekompletnych zresztą i niepewnych) z danymi statystycznymi bibliotek miejskich, w których 90 proc. czytelników stanowią robotnicy i urzędnicy, wynika, że ludzie pracy, choć już prawie w ogóle nie kupują książek, czytają znacznie więcej od tak zwanych warstw średnich. Biblioteki miejskie w Wiedniu posiadają obecnie 207.000 tomów i obsługują prawie 40.000 czytelników, którzy w ciągu roku 1948 dokonali 1.116.000 wypożyczeń. Każda książka była więc wypożyczona (w przybliżeniu) 5 razy — każdy czytelnik przeczytał w ciągu roku 28 książek, tj. ponad 2 książki na miesiąc. Wzrost pod uwagę ciężką sytuację ekonomiczną robotnika i urzędnika w Austrii, zmniejszenie pod uwagę ciężką sytuację ekonomiczną w całości, atrakcyjność innych rozrywków łatwiejszych i lepszych, dane te są w zupełności zadawalające. Te same warunki społeczne czytały w r. 1938 (a więc już po Anschlussie) znacznie mniej. Biblioteki municypalne dysponowały wtedy większą ilością książek (215.000), dokonano jednak zaledwie 405.000 wypożyczeń — w ciągu całego roku jedna książka nie była więc wypożyczona nawet pełne dwa razy! Pokrywała się to z informacją otrzymaną w Wydziale Kultury wiedeńskiej Rady Miejskiej, że klasa pracująca Austrii (szczególnie Wiednia) po Anschlussie odwróciła się od książki (już hitlerowskiej). Można zauważyć natomiast, inny, bardzo symptomatyczny i groźny dla powojennej Austrii objaw: w r. 1938 — 40 proc. czytelników rekrutowało się spośród młodzieży — dziś, po zdencifikowaniu literatury, liczba młodych czytelników zmniejszyła się prawie o 50 proc.!

Bardzo charakterystyczne są listy austriackich „bestsellerów” z lat 1947 i 1948. Największą poczytnością cieszyły się w r. 1947:

1. Pearl Buck: Matka, 2. Mitterer: Jesteśmy sami, 3. Bienek: Noc w Ołomuńcu, 4. Cronin: Gwiazdy patrzy na nas, 5. Kalmar: Czas bez litoci, 6. Plevier: Staję, 7. Kogi: Srebrna flota, 8. Mitchell: Przemienię z wiatrem.

Jak wynika z tej listy, pisarze austriacy (podkreśleni) stanowią 50 proc. najpopularniejszych autorów. Dobór tematyczny ich książek ogranicza się do wojny, wybielenia Austrii i pseudohistorycznych wspomnień z czasów monarchii habsburskiej. W roku 1948 lista „bestsellerów” uległa pewnym zmianom i wyglądała następująco:

1. Cronin: Cyfrelada, 2. Brungraber: Radium, 3. Dreiser: Jenny Gerhart, 4. Lothar: Anioł z trąbką, 5. Pearl Buck: Matka, 6. Bienek: Noc w Ołomuńcu, 7. Adrienne Thomas: Reisen sie ab, made-moiselle, 8. Galsworthy: Ciemne kwiaty.

Tym razem, szczególnie przy uwzględnieniu dalszych, niepodanych pozycji, przeważają pisarze obcy, przeważnie anglosascy. Z austriackich książek cieszy się poczytnością bardzo aktualna powieść

o radzie, dalej „Noc w Ołomuńcu” (czasy Franciszka Józefa) i oparta na historii Austrii od śmierci arcyksięcia Rudolfa do Anschlussu powieść „Anioł z trąbką”. Nakreślony według niej film z Paulą Wessely w roli głównej otrzymał nagrodę filmową Austrii za rok 1948 i cieszy się spośród wszystkich filmów austriackich największym powodzeniem w kraju.

Przeszło 70 proc. wydanych w r. 1948 i na początku r. 1949 pozycji książkowych stanowią przekłady, przede wszystkim z literatury amerykańskiej i angielskiej.

Krytycy literaccy wzywają wydawców do wprowadzenia wydawnictw popularnych, masowych i tanich. Znawcy rynku austriackiego twierdzą, że przy niskiej cenie nakład książki mógłby przewyższyć nawet 20.000 egzemplarzy. Spośród wszystkich firm jedynie wiedeński „Ulstein Verlag” rozpoczął wydawanie stałej biblioteczki p.n. „Das Ewige Wort”, poświęconej jednak wyłącznie klasykom. Inne firmy wolały przetrzeć się na wydawanie przewodników turystycznych, map, nawet brukowych romanów.

W tym stanie rzeczy sytuacja austriackiego pisarza jest raczej krytyczna. Jego dochód (7 proc. z każdego sprzedanego egzemplarza) jest zbyt niski, by pozwolił na normalną egzystencję i pracę pisarską, nie więc dziwnego, że coraz więcej pisarzy przetrzeć się na publicystykę, krytykę, ażeby przetrzeć się.

Pisarze austriacy są zorganizowani w „Verband demokratischer Schriftsteller”, który liczy około 1500 członków i przyjmuje jedynie tych czynnych pisarzy, publicystów i krytyków, którzy nie skompromitowali się współpracą z hitlerowcami. Nieprzejści do tego związku pisarze zgłosili akces do „Der Bund geistig Schaffender”, którego postawa ideowa jest tym samym zupełnie określona.

Literaci skarżą się na zupełny brak pomocy ze strony państwa, które dotychczas nie ufundowało nawet żadnej nagrody literackiej. W całej Austrii jedynie miasto Wiedeń przyznaje doroczną nagrodę literacką — w r. 1947 otrzymał ją Felix Braun, w r. 1948 Erika Mitterer.

Kryzys literatury zaznacza się także brakiem periodyków specjalnie literackich. „Die literarische Welt” doczekała się przed dwoma laty zaledwie dwóch numerów, projektowany kwartalnik „Wiener literarisches Echo” wydatł od września ub. r. dopiero drugi numer, a ogólnokulturalne pisma („Die Zeit”, „Die Furche”, „Osterreichisches Tagebuch”) zajmują się sprawami literackimi tylko ubocznie i powierzchownie. Nie więc dziwnego, że kiedy opowiadałem kilku literatom o sytuacji literatury i człowieka piszącego w Polsce, słuchali moich słów z niedowierzaniem i z zazdrością.

Mariusz Margal

WŁODZIMIERZ MARTIN

# FELIETONY KISCHA

Egon Erwin Kisch, jeden z najwybitniejszych reporterów naszych czasów, zawdzięczał sukces swojej twórczości niewątpliwie nie tylko wartościom narracyjnym i egzotyce dalekich dróg, jakie przemierzył.

Świadome poszukiwanie właściwej drogi rozwiazania problemów społecznych zaczyna się u Kischa wczesnie. W opowiadaniu pt. „Droga Wyjsciowa” dochodzi już pod koniec pierwszej wojny światowej do przekonania, iż do pokonania i do sprawiedliwosci społecznej prowadzi droga rewolucyjnej przemiany. Niezmiernie interesujący jest proces zachodzący w młodym dziennikarzu praskim, który w pierwszych latach naszego wieku doprowadził go do poglądów materialistycznych. Nie było to osiągnięcie proste w owych czasach. A już na pewno nie łatwe dla młodego mieszczanina praskiego niemieckiej proweniencji, w c. i k. monarchii. Jak do tego osiągnięcia doszedł, opowiada w swieżo wyanych w przekładzie polskim wspomnieniach pt. „Jarmark sensacji”.

Jest to 20 opowiadań powstałych w Mekksku w latach drugiej wojny światowej, obejmujących treścią drugą dziecinstwa i młodości autora. Z sentymentem podany koloryt lkalny c. i k. Pragi łączy się w tych opowiadaniach z bystrą obserwacją narastających sprzeczności swiata kapitalistycznego, po szczytowych jego osiągnięciach w końcu XIX wieku. Charakterystyczna dla autora jest łatwość, z jaką w każdym opowiadaniu prowadzi nas do dydaktycznych wniosków. Nieraz w jednym zdaniu sensacyjnej historii uświadamia właściwy sens społeczny, a w sentymentalnej opowieści pokazuje kształtowanie się ludzi i wstecznych form życia, którym tyko w sposób rewolucyjny można nadać nową treść.

Terenem wszystkich opowiadań jest Praga Czeska w końcu XIX i początku XX wieku. Stolica prowinoji imperium habsburskiego, licząca przeszło pół miliona mieszkańców, ma układ społeczny w pewnym sensie jeszcze feudalny. 25 tys. Niemców posiadających własne szkoły, uniwersytety, teatry, prasę — żyje w społeczeństwie czeskim a raczej eksploatuje je, stykając się z nim jedynie w sprawach handlowych, przestrzegając rozdziału najbardziej rygorystycznie, traktując najmniejszy przejaw zbliżenia dwu nacji jako zdradę narodową. Sytuacja kolonialna w środku Europy nieczytały 50 lat temu. Jeszcze dobitnie ilustruje ów stan okoliczność, że Niemcy prasy to wyłącznie klasa posiadająca: przemysłowcy, wielcy kupcy, wyżsi urzędnicy — zupełny brak proletariatu. Nie trudno sobie wyobrazić jakie poglądy panowały w tej sferze, jak łatwy start żyłowy miał człowiek posłuszny i uległy, jakiej siły woli i rozumu

\* Egon Erwin Kisch: „Jarmark sensacji”. Przekład St. Wygodzkiego. Wyd. Prasa Wojskowa. W-wa 1948.

trzeba było użyć, aby się z pojęć swojej sfery uwolnić, zanalizowawszy uprzednio motyw jej istnienia i działania.

Oglądamy tedy wraz z Kischem Pragę niejako od strony kulis. Sledzimy jej układ społeczny: od sprężyn poruszających władcami kraju, po przez życie tworców opinii publicznej, dziennikarzy — do prozaicznej kroniki policyjnej i domów proawczych dla tzw. dziewcząt upadłych. Rozpoczyna autor książkę opowiadaniem o dziejach praskiej pieśni ludowej, czegoś w rodzaju ballady epickiej, która przecho-wuje w pamięci ludu to wszystko, co oficjalna historia miała okryć przed nim tajemnicą. Ta chronicle scandaleuse wielkiego miasta obejmuje wszystko, od najbardziej istotnych wydarzeń politycznych do pospolitych zbrodni. Ciekawe jest też szczególnie zainteresowanie wypadkami politycznymi, dotyczącymi czeskich spraw narodowościowych, oraz zbrodniami czy wypadkami, które wynikły z klasowej budowy społeczeństwa i dałyby się uniknąć w innym układzie.

Prowadzi nas dalej Kisch przez swe dziecinstwo szczęśliwe i młodość, przez pierwowiny pisarskie i pierwsze, brutalne a nawet kryminalne, zetknięcie się z życiem — służbą w wojsku austriackim, gdzie, jak sam mówi, na 365 nocy 147 sie-oział w areszcie. To była jego pierwsza szkoła życia — praktyka zetknięcia się z odwrotną stroną układu klasowego: ze swiata przestępczym. Nie przypadkowe jest chyba to przetrzeć się Kischa od opisów niezwykle ciekawych a niejawnych posunięć politycznych ówczesnych czynników oficjalnych, decydujących o życiu narodu, do spraw pospolitych i niepospolitych zbrodni, z których, jak drwiący diabeł z pudełka, wyskakuje istotny sens ich działania — interes własny, nie liczący się z niczym zachłanność klas posiadających.

To nagromadzenie treści społecznej podane jest u Kischa w formie prawie sensacyjnej felietonów. Zachodzi obawa, że mniej uważny czytelnik wychwyci jedynie pasjonującą fabułę. Ale pamiętać trzeba, że Kisch to reporter, który chce, pragnie nawiązać kontakt nie tylko z wyrobioną publicznością, ale i z tzw. „publiczką”.

Okres zdobywania ostróg reporterskich przez Kischa — to czasy panowania sądów mieszczańskich w opinii społecznej, zarówno w sferach drobnomieszczańskich, jak w kołach wielkiej burżuazji i arystokracji. To czasy panowania najbardziej mieszczańskich z monarchów europejskich, Franciszka Józefa. Otóż wydaje się, że w swych chwytach reporterskich Kisch stara się pokazać, że to, co ludzi tych interesowało, pasjonowało, naruszało ich obojętność, przetrzewało, formowało ich sądy i pojęcia, oddziaływało także na typ prasy i literatury. Możemy obserwować mechanizm, jakbyśmy to dziś powiedzieli, zamowienia społecznego określonej klasy w danej epoce.

Temperament reporterski i znajomość pisarskiego rzemiosła każe Kischowi podać swe spostrzeżenia w formie pasjonujących, dowcipnych i lekkich opowieści. Wszystko nosi nieco charakter zabawy z czytelnikiem na test z inteligencji, pamięci, znajomości klimatu najbliższej przeszłości.

Ciekawe, że tylko w jednym opowiadaniu: „O Reportażu” — pozbywa się Kisch dystansu twórcy. Ale jest osobiste dotknięcie. Chodzi mianowicie o pozycję reportażu w literaturze. Czemu to niełatwe, logiczne oddanie rzeczywistości nie zawsze odrzuca jasnej, wykrycie prawdy sprytem, wężem niedawie, wreszcie pysznym zmysłem kojarzenia faktów i przesłanek i podanie jej w formie łatwo przyswajalnej i oczywistej, ma być traktowane gorzej niż fikcja literacka? Kisch często to spotykało i podnosi te sprawy chyba dlatego, że często działa mu się krywdą. Treść jego pasjonujących reportażów stawała się niejednokrotnie łupem korsarzy literackich, których ścigać nie mógł, jako że on pisał „tylko” prawdę, to co widział, natomiast oni uprawiali „twórczość literacką” opartą na jego zmyśle spostrzegawczym. Niekaralność takiej procedury bardzo Kischa dotyka. Pocięzmy się, że nie był jednym.

Język polski przekładu, pióra Stanisława Wygodzkiego, doskonały. Obwoluta Mieczysława Bermana wizualnie dobra. Wydawnictwo (Prasa Wojskowa) użycio doskonałego czcionki. Czytelnik bardzo sobie to ceni.

Włodzimierz Martin



## Rehabilitowanie prowokatorów

W pięciolecie wybuchu powstania warszawskiego cała prasa złożyła hołd męstwu i patriotyzmowi żołnierzy podziemia, którzy na barykadach stolicy polegali za Polskę.

Cała prasa podkreśliła tragizm powstańczego bohaterstwa, które — w zbrodniczy sposób, w celach wrogich Polsce nadużyte przez zdrajców z obozu „londyńskiego” — na zawsze zostanie w pamięci narodu, w pamięci wstającej z gruzów Warszawy.

Cała prasa napiętnowała nikczemność tych, z których świadome winy bohaterstwo powstańców stało się tragiczne — tych samych zresztą, z których świadome winy tragiczne stało się bohaterstwo żołnierza polskiego we wrześniu 1939 r.

Dziś ohyda tej winy jest równie oczywista, jak oczywiste było od samego początku bohaterstwo walczącego w powstaniu ludu warszawskiego, bohaterstwo warszawskiej młodzieży. Dziś winny już, że żołnierze podziemia Warszawy nie padli ofiarą jakiegos błędu zrodzonego z lekko-myślności przywódców, z pomyłki kierownictwa w ocenie sił i możliwości obu stron. Wiemy, że rzucona do walki stolica padła ofiarą potwornej prowokacji ukutej w tajnym porozumieniu z Niemcami.

Znamy już rolę, jaką w tej prowokacji odegrał np. pułkownik Pelczyński, jeden z tuzów pilsudzkowskiego ośrodka prowokatorskiego, związanej z niemieckim wywiadem osławionej „dwójki”. Dlatego trudno uwierzyć, żeby znalazł się jeszcze w prasie polskiej ktoś, kto podjąłby się bodaj pośredniego wybielenia zbrodniarzy.

A jednak — czytamy w pewnym, wychodzącym w Warszawie „katolickim tygodniku społecznym”:

„Niejednokrotnie krytycznie ocenialiśmy w „Dziś i Jutro” Powstanie Warszawskie i dawniejsze nieprzemysłane akty zbrojne naszej przeszłości... potępiając np. Powstanie styczniowe... potępialiśmy jego polityczną nieodpowiedzialność i brak przygotowania wojskowego. Potępialiśmy lekko-myślność przywódców, którzy nie wiedząc o tym byli wodą na młyn Bismarcka...”

Następuje potępienie inicjatorów i kierowników powstania warszawskiego. Potępienie, które prosi się o cudzy głos. Czyż mogli bowiem zbrodniarze, czyż mogli współdziałający z niemieckim wywiadem zdrajcy i prowokatorzy żyćzy sobie miłego i chlubińskiego „potępienia”, niż porównanie, niż postawienie w jednym szeregu z inicjatorami i przywódcami powstania styczniowego?

W „radykałno” — katolickim tygodniku dochodzi do głosu znana „historiozofia” Dmowskiego, wyraz ugodowej i służalczej wobec caratu postawy kontrowolucyjnej burżuazji — „historiozofia” użyta później przez ludzi w rodzaju Giertycha i Doboszyńskiego, kiedy wypadło im układać program hitleryzacji Polski.

I może nie najważniejsza będzie tu odpowiedź na pytanie, jak nazwać, jak wybielić, jak wybielić taką próbę wskrzeszenia i rehabilitowania dמושczyzny. Ale jakim mocnymi wyrazami określili to stawianie znaku równości między uczniami Piłsudskiego, zdrajcami i prowokatorami z „dwójki” — a ludźmi roku szesćdziesiątego trzeciego? Między tymi, którzy przed powstaniem i po jego klęsce wymieniali koleżeńskie uściski dion z dygnitarzami Wehrmachtu i wywiadu niemieckiego — a tymi, co zgłębili na carskich szubienicach? Między polskimi hitlerowcami, którzy dziesięć lat temu spowodowali tragedię wrześniową, by w pięć lat później, znowu w interesie Niemców i znowu przeciw Polsce, popełnić zbrodnie nad Warszawą — a tymi, co w styczniową noc podnieśli sztandar walki o wolność, nigdy nie wchodzili w konszachty z wrogiem i padli w nierównym boju, który stał się natchnieniem następnych pokoleń?

Osobliwy to „radykałizm”, którego ideologia prowadzi do takich porównań; który patriotyzm i bohaterstwo kierowników powstania styczniowego stawia — moralnie i politycznie — na równi ze zbrodnia, jaką było spowodowanie powstania warszawskiego.

Trudno nie widzieć w tym zakamufłowanej próbie zrehabilitowania Pelczyńskiego, Bora-Komorowskiego i ich cywilnych współników.

KANDYD

ALEKSANDER JACKIEWICZ

## A SAKEN ŻYJE I KWITNIE

Powyższe dumne słowa postawił Georgij Gulia, laureat Nagrody Stalinowskiej, na ostatniej stronie swej książki pt. „Wiosna w Sakenie”, w której zobrazował walkę małej wioski leżącej u podnóża Kaukazu, o miejsce na mapie świata. O miejsce w znaczeniu dosłownym i przenośnym.

Autor pisze, że Saken jest odcięty od reszty świata dziewięćmi przełęczami i osłonięta górnymi rzekami. Jak w bajce. Ale los wioski nie realizuje się w kramie baśni, lecz na konkretnym gruncie rzeczywistości radzieckiej: politycznej, ekonomicznej i kulturalnej.

Powieść Gullii jest utrzymana w formie tradycyjnej gawędy ludowej — barwnej, dowcipnej i prostej (której charakter dobrze oddał polski tłumacz). Autor wciąż pamięta, że mówi do słuchacza czy czytelnika, szczególnie dba o bezpośredniość narracji; wszelkie sprawy, które porusza, są w jego opowiadaniu zaprezentowane przez określony zespół faktów, przez określoną grupę ludzi, przez jednoznaczne akcje. Opis natury, dialogi, sylwetki bohaterów służą oddaniu pełnej prawdy o opisywanym środowisku. Autor solidaryzuje się z tematem przez swego narratorka. W książce Gullii jest tak, jakby Saken, posługując się piórem pisarza, opowiadał o sobie.

Ten brak konfliktu stanowisk między autorem a opisywanym światem, konfliktu, który był podstawą realistycznej powieści mieszczańskiej, został tu zastąpiony przez kontrasty w tonie samej materii twórczej. Tradycyjna forma gawędy ludowej, która pod piórem Gullii zachowała nawet szczerkowe akcesoria fantastyki, lecz już bez dążności do udzielniania rzeczywistości, kontrastuje z awansem kulturalnym i cywilizacyjnym opisywanego środowiska. Daje to ciekawy efekt artystyczny, pogłębia stronę treściową. Jeśli zaś chodzi o moment ideowy — kontrast to pozorny.

W obrazie Sakenu bowiem tradycja ludowa, która wyrosła z walki człowieka o poprawę swego bytu, o lepszy los ogółu — znajduje przedłużenie w osiągnięciach powolucyjnych, a zwłaszcza powojennych. Stary, 140-letni Szaangeri Kanba, uosobienie żywej historii Sakenu, gdy ujrzał samolot przybyły do wioski, traktuje go jak miłego gościa, z należytym mu zaufaniem, szacunkiem i zainteresowaniem. Gdy przedsięwzięcie młodzieńcze — Śmieć — uruchomił małą elektrownię, Szaangeri Kanba solidaryzuje się z nim. Solidaryzuje się z życiem nowego porządku, które pokonawszy dziewięć przełęcz i osiem rzek, wtargnęło do Sakenu. Oto słowa starca skierowane do jednego z ziomków: „Siebie mi szkoda... Tutaj mnie robak gryzie. Zazdrość mnie bierze. Chceły jestem wszystkich dobrych rzeczy. Nie rozumiesz mnie... Słuchaj, co ci powiem: żyłem sobie, żyłem i ciągle marzyłem o szczęśliwej czarce wina, o szczęściu, małej odrobnie szczęścia. I w końcu widzę je, i widzę szczęśliwą czar-

kę... Lecz nie mogę sięgnąć po nią, osłabia ręka, nie potrafię już jej wyciągnąć...”

W tych słowach stary Szaangeri daje wyraz głębokiej humanistycznej łączności, jaka istnieje pomiędzy pokoleniami ludu we wszystkich okresach historycznych: łączności w dążeniu do polepszenia losu człowieka.

Historia ukazana na wąskim odcinku wiejskiej gromady — jest osią utworu. W prologu do powieści autor wspomina, że z koncem ubiegłego wieku pewien pomyślny nacelnik powiatu wykreślił Saken ze spisu miejscowości wiejskich Rosji carskiej. Osadę uznano za nieludnią, bo była trudna dostępną dla poborców podatkových i placila państwu nędzne grosze; „Na szczęście ów niewyżyty akt państwowy nie miał żadnych poważniejszych następstw — pisze Gullia. — Saken w dalszym ciągu istniał we wszechświecie, odcięty od ludzi, póżdki, jak zawsze dumny i nieprzystępny”.

Podstawą fabuły staje się proces włączenia się tej zagubionej wioski w szeroko pojętą wspólnotę narodową. Dynamika wiejskiej grupy społecznej, dotąd nie wykorzystana — w sprzyjających warunkach dochodzi do głosu. Pod budowania i odbudowywania państwa po najędzie hitlerowskim porwa ludzi z Sakenu. Kolchoz zaczyna pracować sprawniej niż dotąd, za przykładem Śmiecia, twórcy próbnego elektrowni, gromada postanawia zelektryfikować całą osadę, energiczniej członkowie zespołu myślą o budowie drogi, która przez przełęcz i rzeki połączy Saken ze światem.

Lecz wioska nie jest już osobniona od życia państwa. Nie tylko ozerpie z zewnątrz podjęte i pomoc dla własnej pracy, lecz sama również chce krajojowi coś ofiarować. Zagadnienie odkrycia fosforytów naturalnych w okolicach osady postawił pisarz bardzo interesująco. Jeszcze za czasów carskich przybył do Sakenu pewien urzędnik zwolniony z posady za idee wyrotowe. Zainteresował się on Skalą Miłosierdzia, o której napisał małą rozprawkę na temat naturalnych fosforytów i ich znaczenia jako sztucznego nawozu dla rolnictwa. Urzędnik zmarł. Rekopis jego pracy użyty do kreowania papierosów. Lecz jedna kartka ocalała, z jej treścią zapoznał się w dziecinstwie bohater powieści — Keson Mirba. Po wojnie opętała go myśl wykorzystania tego bogactwa dla swego kolchozu oraz dla innych mniej urodzajnych rejonów rolniczych.

Zatrzymamy się tu na chwilę. Rozważmy teorię naukową, której nosicielem w danym wypadku był zmarły rewolucjonista, zapłodniona praktyka Kesona Mirba, z czasem zaś i innych jego towarzyszy. Teoria przyszła ze swiata, lecz została podjęta przez lud Sakenu. Teraz zaś, gdy trzeba ją realizować, znów nie obędzie się bez pomocy z zewnątrz. Władze rejonowe dostarczyły maszyn, aby lud Sakenu mógł wydobyczyć drogocenny nawóz, aby podnieśli urodzajność pól swego kolchozu i przysłużyli się innym kolchozom.

W postawionym w ten sposób zagadnieniu zbiega się szereg zasadniczych prawd:

że teoria naukowa i życie praktyczne są z sobą nierozłącznie związane, że inicjatywa jednostki nie może zrealizować się bez współpracy ogółu, wreszcie, że najmniejsza grupa ludzka, jeśli pragnie się rozwijać, musi się włączyć w szerszą społeczność.

Powyższe rozważania, w których staralem się wydobyc sens ideowy utworu, mogłyby w czytelnika wywołać nieustanne wrażenie, że Gullia, operując prawdami społeczno-politycznymi osłabił obraz ich życiowej konkretyzacji. Nie podobnego. Już na wstępie zaznaczyłem, że w powieści radzieckiej pisarza idee są wcielone w żywych ludzi, w sytuacje i konflikty. Żadne pojęcie nie pozostaje tu w zawieszaniu. Ludzie są ukazani od strony ich różnorodnych walorów. Bohaterzy: czy to będzie Keson Mirba — pionier postępu, a przecież często zbyt jednostronny i zanadto zapalczywy — czy Konstantyn — rożważny i solidny, dopełniają swoim rozsądkiem dzieło Mirby — czy Raszit — hulaka i trochę bliagier a przecież doskonale szewc sakenski — czy Anton — członek kolchozu walczący ze swym lenistwem i oziębłością — wszyscy oni są ludźmi rzeczywistymi, w ich gronie realizuje się strona ideowa utworu. Autor ich nie idealizuje, przeciwnie, niejednokrotnie podkreśla, że zbiorowość ludzka w walce o postępek ma do pokonania nie tylko trudności zewnętrzne, lecz musi przede wszystkim wychować człowieka w swoim łonie, a nim się to stanie — winna operować materiałem, jakim rozporządza, wydobywając z niego elementy najbardziej pozytywne, prowokując po prostu każdego ze swych członków do stałych rozrachunków z własnym społecznym sumieniem.

Gullia nazwał swoją powieść „Wiosna w Sakenie”. Jest to wiosna w dosłownym i przenośnym znaczeniu, tak jak — dosłownie i przenośnie — wywalcza sobie Saken miejsce w nowoczesnym świecie. Wiosna objawia się tu w przejmujących opisach krajoznawstwa, w opisie przyrody, w opisie życia z bohaterami powieści, z dion ich wysiłku, lecz również w postaci skarbów z Góry Miłosierdzia daje im w ręce narzędzie walki o polepszenie losu. Nad wiosną przyrody i nad wiosną idei kulturalnych dominuje w powieści Gullii głęboki humanizm.

Stary Szaangeri oglądając pejzaż, na którym narrator utworu starał się odmalować kwitnący czar Sakenu, wypowiada następujące słowa: „No, a dlaczego nie ma na tobie obrazie ludzi? Koniecznie powinien być człowiek. Tu rosną wierzby. Posadził je człowiek. A tam szkoła zbudowana przez człowieka. Czy ty nie lubisz ludzi?”

Wierzęcy starca może jeszcze sadzić te wierzby, ojcowie Kesona zapewne po rewolucji zbudowali te szkoły. Keson w epilogu powieści, gotując się do realizacji zbrojowego dzieła, stoi przed Skalą Miłosierdzia, „jak gdyby chciał zmierzyć z nią swe siły”.

Oto sens przastarej a przecież jakże młodej wiosny w Sakenie.

Aleksander Jackiewicz

## KSIĄŻKI NADESLANE

- KAROL BUNSCHEK — Siadem przadziada. Wyd. Gebethner i Wolff, W-wa 1949 r. Str. 424.
- JAN PARANDOWSKI — Godzina śródziemnomorska. Wyd. Gebethner i Wolff, W-wa 1949 r. Str. 236.
- JOZEF KOWALCZYK — Aktualne zagadnienia oświatowe „Nasza Księgarnia”, W-wa 1949 r. Str. 29.
- KAZIMIERZ DECZYNSKI — Pamiętnik chłopca - nauczyciela, „Nasza Księgarnia”, W-wa 1949 r. Str. 48.
- WANDA WASHLEWSKA — Historia jednego strajku, „Nasza Księgarnia”, W-wa 1949 r. Str. 180.
- SELMA LAGERLÖFF — Marynia — „Nasza Księgarnia”, W-wa 1949 r. Str. 23.
- DR JAN SAJDAK — Kwintus Sptimiusz Florens Tertulian. Wyd. Księgarnia Akademicka, Poznań 1949 r. Str. 353.
- DR TADEUSZ PUCHALSKI — Gospodarka światowa w liczbach, Wyd. Księgarnia Akademicka, Poznań 1949 r. Str. 137.
- HENRYK SYSKA — Przez walkę do zwycięstwa. Wyd. Ludowe, W-wa 1949 r. Str. 156.
- HENRYK SYSKA — Od „Kmiotka” do „Zarania”. Wyd. Ludowe, W-wa 1949 r. Str. 270.
- HELENA BOGUSZEWSKA — Anielica i życie. „Czytelnik”, W-wa 1949 r. Str. 173.
- MIKOŁAJ WIRTA — Samotność. „Czytelnik”, W-wa 1949 r. Str. 267.
- SŁOWNIK FRANCUSKO - POLSKI i polsko-francuski — opracował Paweł Kalina. — Część I francusko-polska. Część II polsko - francuska. „Czytelnik”, W-wa 1949 r. Część I, str. 680. Część II, str. 634.

\* Georgij Gullia: „Wiosna w Sakenie”, tłum. Tadeusz Mongird, „Czytelnik”, 1949.

PRZEGLĄD PRASY

O widzenie prawdziwego świata

Od kiedy „Czytelnik” złożył nową kawiarnię na Rynku Mariensztackim, już bez wyrzutów sumienia bywam w warszawskich kawiarniach. Przesiadując z malarzami przy pół czarnej usłyszałem ostatnio — w związku z zjazdem artystów — dwa powiedzenia, które moim zdaniem zamykają w sobie bez reszty sprawę malarstwa w naszej epoce.

Pozwólcie więc, że przytoczę te dwa powiedzenia tak, jak je zasłyszałem:

Malarz I (do malarza II) — Kto to jest naturalista?

Malarz II (do malarza I) — To taki malarz, którego nie stać na kupno aparatu fotograficznego.

To powiedzenie powtarzam dla tych, którzy wysunięta hasła realizmu socjalistycznego przyjęli za sygnal do malowania „zachęciarskich” kiczów i zastępują dawną, omdleającą pięknością młodą robotniczą odmalowaną „jak żywa” i w dodatku upiększoną kosmetykami wyrobu Żmurki i Azentowicza.

Następne powiedzenie zasłyszane przeze mnie jest znacznie głębsze:

Malarz I (do malarza II) — Dlaczego kąpięci nie malują śniegu?

Malarz II (do malarza I) — Dlatego, że w Paryżu zimy są przeważnie bezśnieżne.

Siedzę w domu nad reprodukcjami starych mistrzów i myślę, czym jest malarstwo. Wiem, czym nie jest. A więc nie jest napełnianie kopiami natury, tym bardziej zaś upiększaniem jej według recepty pompierskich malarzy pracujących na zamówienie burżuazyjnego klienta. Nie jest także martwym naśladowaniem cudzej wyobraźni, niezwiązanej z barwą nieba i ziemi, z kształtem twarzy i z wyrazem oczu, ludzi tego czasu, w którym malarz pracuje. Drugie powiedzenie o pewnym odłamie naszego malarstwa, którego zdobywcze techniczne są zresztą bardzo cenne, wydaje mi się tak samo trafne, jak uwaga o naturalistach. Rzecz, jak sądzę, polega tylko na tym, żeby sobie uprzytomnić, iż malarstwo nie polega ani na naśladowaniu natury, ani na powtarzaniu dawnych zdobyczy. Malarstwo jest utrudnionym widzeniem świata. Ale ten świat się zmienia. W tym okresie historycznym, kiedy walczymy o przywrócenie godności człowiekowi, musimy przywrócić godność jego widzeniu. Stąd potrzeba sztuki humanistycznej, bliskiej i zgodnej z widzeniem każdego człowieka. Kiedy patrzymy na obrazy Vermeera, mimo ich niemal drobniogłowej dokładności, nie odczuwamy tego przykrego wrażenia naśladownictwa — i to naśladownictwa nieudolnego — które nas zniechęca do „podobnych”, ale mar-

tych, umarłych płócien naturalistów. Kiedy patrzymy na portrety Ingresa albo na „Wnętrze atelier” Delacroix, nie czujemy się zawieszani w próżni. Gdzieś zerwała się nić malarstwa humanistycznego i dziś staramy się tę nić przeprowadzić na nowo — od obrazów holenderskich i flamandzkich, od wielkiego malarstwa Francji i Włoch, od naszej własnej, świetnej tradycji malarstwa XIX stulecia — malarstwa Roda-kowskiego, Gierzyńskich, od wcześniejszego Gottlieba, od wielu zapomnianych w okresie eksperymentarstwa za wszelką cenę malarzy. Czy chodzi o kopiowanie wzorów? Ależ nie! Rzecz w tym tylko, by malarz współczesny spojrzął na współczesność oczyma humanisty, oczyma człowieka, który bierze czynny, żywy udział w sprawach tego świata, jak to czynili Włosi, Flamandowie, Holendrzy i Francuzi.

W ostatnim numerze „Odrodzenia” przeczytałem jeden z najrozsądniejszych artykułów o malarstwie, jakie zdarzyło mi się czytać po wojnie. W tym artykule (Janusz Bogucki „Refleksje pożyteczne”, Odrodzenie, nr 31) autor bardzo trzeźwo walczy z truogą przed kiczem naturalistycznym, który i mnie straszy. Bogucki trafnie mówi: „Obawy te mają uprawdźcie częściowe uzasadnienie w związku z wynikami imprez organizowanych zbyt do-raznie i pospiesznie... Trzeba jednak stwierdzić, że niepowodzenie tej czy innej imprezy „realistycznej” jest przede wszystkim wynikiem zbyt wstrzemięźliwego udziału artystów, którzy zdolni byłiby dać rozwiązanie prawdziwie odkrywcze i traj-nej”.

I dalej czytamy: „...na drodze do zbudowania pełnej wizji realistycznej naszych czasów przelamać wypadnie wiele trudności i niebezpieczeństw... To trudno, celów wielkich i nowych nie osiąga się małym wysiłkiem i tradycyjnymi metodami. Świadomość tego powinna być dla nas nie źródłem obaw, lecz dźwignią woli twórczej, ambicji i wyobraźni. Jeśli potrafimy jej w sobie zmobilizować i damy epoce dzieło godne jej wielkości — cóż znaczyć będzie uboczna produkcja nieporozumień i błędów, choćby czas jakiś ułokła się jeszcze za nami!”.

Sprawozdanie pożyteczne Boguckiego wydaje mi się tak trafne, że nie do niego już nie doruczę. Morał zawarty w zacytowanych przeze mnie zdaniach jest wspólny dla wszystkich uczciwych, postępowych artystów naszej epoki.

Miał rację malarz mówiący o braku śniegu w obrazach naszych postimpresjonistów. Strzeżmy się braku śniegu, ale strzeżmy się też śniegów Fałata. Strzeżmy się braku rozsądku, przenikliwości, odwagi i humanizmu w naszych książkach, obrazach i muzyce!

Axel Munthe i jego przyjaciel

Umarł niedawno Axel Munthe. Prasa burżuazyjna poświęciła wiele miejsca wspomnieniu o autorze „Księgi z San Michele”, pisząc o jego „prawdziwym humanizmie”. Ale zapomniano wszędzie — przy tej sposobności — przypomnieć jednego z przyjaciół tego „mieszkańskiego humanisty”. Przyjacielem był człowiekiem zamożnym. Przyjaciel odwiedzał często Axela Munthe w San Michele i w długich rozmowach „odślaniał przed nim swą duszę”. I oto Munthe postanowił przyjacielowi sprzedać swą własną rezydencję. Pisze więc do niego (25 października r. 1937, w piątym roku Trzeciej Rzeczy): „wrażenie, jakie odniosłem z pań-



skiego pobytu u mnie, utwierdziło mnie w przekonaniu, że pan jest właściwym człowiekiem, któremu z chęcią oddałbym San Michele... nie ma na całym świecie idealniejszego wyciecznika dla ciała i duszy, szczególnie dla człowieka obarczonego tak niezmiernym ciężarem pracy i odpowiedzialności, jak pan”. Interes nie doszedł do skutku tylko dlatego, że stary pisarz chciał za dużo za to idealne miejsce wyciecznika. Człowiekiem, w którym Munthe widział najbardziej mu odpowiadającego gospodarza miejsca, w którym stworzył swe dzieła, był... Reichsmarschall Hermann Goering. Tak oto wyglądał przyjaciel „wielkiego humanisty”, ozdoby literatury burżuazyjnej.

Minister-wioślarz

Nowomianowany minister marynarki Stanów Zjednoczonych Francis Patrick Matthews, zagadnięty na temat jego fachowego przygotowania do nowego stanowiska, odpowiedział: „W mojej posiadłości letniej posiadam przecięt łódkę z wiosłami”. Oprócz fachowych zdolności min. Matthews odznacza się nie mniejszym geniuszem politycznym i ekonomicznym: jest zaciekłym wrogiem Związku Radzieckiego, zajadłym antykomunistą, przeciwnikiem dwóch banków (a jakże!), towarzysza telefonicznego oraz posiadaczem radiowej stacji nadawczej.



Największą sławę zdobył sobie Matthews w latach 1946/7 jako przewodniczący „Komisji przeciw komunizmowi i socjalizmowi”, działającej przy amerykańskim związku przemysłowców. W tym charakterze rozwinął program przewidujący ostrą cenzurę wszystkich imprez kulturalnych i gazet oraz cysknie w amerykańskich szkołach i uczelniach. Krótko mówiąc, nie całał się z kulturą, będąc zwolennikiem systemu „brania za morde”. Jak widać, Matthews nadawał by się doskonale także na ministra oświaty w Stanach Zjednoczonych. Umiejętności wioślarskie wszelako zacytowały i Francis Patrick Matthews został ministrem marynarki. Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Dwanaście i pół procent

Statystyka służy czasem do ujawniania prawdy, często do jej ukrycia. Ogłaszana przez Organizację Narodów Zjednoczonych służy często do tego drugiego. Miesięczne biuletyny statystyczne tej organizacji międzynarodowej np. powierzonego czytelnikowi zakrywają zupełnie fakt, iż od dwóch lat stopa życia w robotnika amerykańskiego spada — czyli, że ponosi on w coraz wyższym stopniu koszt kryzysu. Jak się dokonuje „zakrycia rzeczywistości”? Sposób jest prosty. Placę podaje się w centach za godzinę, koszty utrzymania podaje się w punktach, w jednym

Noty

i drugim przypadku jako punkt wyjścia przyjmuje się rok 1937. I wtedy powierzonego czytelnik stwierdził, że robotnik amerykański zarabiał przeciętnie za godzinę w r. 1937 — 62,4 centów am., a w r. 1949 zarabiał przeciętnie 137,3 centa, że jeśli przyjąć koszty utrzymania w r. 1937 za 100, to w r. 1949 wynoszą one 193, placę wrosły przeszło podwójnie, koszty utrzymania nieco mniej niż podwójnie. I wniosek będzie: robotnik amerykański (oczywiście tylko w przecięciu i tylko robotnik pracujący) utrzymuje swą stopę życiową na tym samym, a nawet nieco zwiększonym poziomie — pomimo kryzysu.

Ale sprawdźmy: weźmy za punkt wyjścia nie rok 1937, ale rok 1947, same początki kryzysu. Otrzymamy wtedy w r. 1947 jako przeciętną placę 122 centów za godzinę (w r. 1949 — 137,3 centa) jako indeks kosztów utrzymania 155 (w r. 1949 — 193). Przeliczmy na procenty: od początków kryzysu, t. zn. od r. 1947, placę wrosły w Stanach Zjednoczonych o 8 procent, ceny o 21 procent. I ta różnica między



8 procent a 21 procent jest odpowiedzią na pytanie, o ile spadła stopa życia pracującego robotnika, i to odpowiedź jeszcze nie pełna, skoro przeciętny czas pracy wynosił w r. 1947 — 7 godzin na dobę, a w r. 1949 tylko 5 i pół godziny (a punktem wyjścia porównania nie jest dla statystyki ONZ przeciętna placę tygodniowa, ale przeciętna placę za godzinę). W istocie, po uwzględnieniu tej korektury, przeciętna placę robotnika spada w Stanach Zjednoczonych w ciągu półtora roku (jeśli idzie o jej siłę kupną) o 12 i pół procentu. I w tej cyfrze wyrażają się koszty kryzysu, ponoszone przez każdego robotnika amerykańskiego, choćby nawet pracował, choćby pracował nie poniżej przeciętnej, choćby pobierał placę nie poniżej przeciętnej. Nawet w zakrywających rzeczywistość statystykach burżuazyjnych można tę rzeczywistość odczytać — jeśli się zachowa sceptycyzm wobec rzetelności założeń.

Powrót do średniowiecza

„Atmosfera w USA staje się nieznosna. Można się obawiać przeraźliwej neurozy. Każdy wydaje się być szcziły, nerwowy, wyprowadzony z równowagi. Nikt nie ufa więcej ludzkiemu intelektowi!”.

Tak scharakteryzował amerykańską akcję przeciw uniwersytetom i uczynom prof. Harold Taylor, prezydent Lawrence College w Bronxville, człowiek konserwatywny, którego nawet największy kulton amerykański nie poślodził o komunizm. Fała przesładowań, zalewająca uniwersytety i naukę, przyjęła zdaniem tego uczzonego takie rozmiary, że wszyscy zmarli i żywi hitlerowcy musieliby splonąć rumieńcem wstyd u powodu swojej nieudolności. Komitet dla badania działalności amerykańskiej zażądał w lipcu od 107 (słownie: stu siedmiu) uczelni przedłożenia dokładnego spisu wszystkich podręczników nau-



kowych, ponieważ wiele z nich zawierało poglądy „nieamerykańskie”. Na uniwersytecie w Nebraska kontrolę tę przeprowadziła rada nadzorcza, składająca się z dwóch bankierów, właściciela domu towarowego, kierownika hotelu oraz hurtownika warzyw. Organ ten zwolnił kilku wybitnych uczonych i zakwestionował szereg podręczników, m. in. z geometrii analitycznej i archeologii!

Trzeba jednak przyznać, że niektóre uniwersytety zajęły godniejszą postawę. Do tych niewielu uczelni należy uniwersytet w Connecticut, który odmówił przedłożenia zażądanego spisu książek, a naukowe towarzystwo „Fi-Beta-Cappa” oświadczyło: „Profesorzy uniwersytetu są systematycznie zastraszani, a studenci wychowują się w atmosferze nie mającej nic wspólnego z badaniem naukowym”.

Jeden z członków tego stowarzyszenia sprzecywał swój pogląd następująco: „Zbliża się w naszym kraju epoka duchowej ciemności. Zaczyna się nowe średniowiecze”.

Igraszki niemieckiej Temidy

Zachodnio-niemiecka Temida uzupełniła swój wieniec sławy jeszcze jednym liściem bobkowym. Denazifikacyjny sąd w Bielefeld zrehabilitował starego lisa faszystowskiego Alfreda Hugenberga. I rzeczywistość było za co.

Gdziekolwiek i kiedykolwiek w czasach republiki weimarskiej planowano jakiś spiszek przeciwko postępowi i demokracji — kulisami jego stał Hugenberg. W każdej brudnej grze, w każdej intrydze i po-

dość faszystowskiej maczał palce. Jego przedsiębiorstwo filmowe „Ufa” i wydawnictwo „Scherlverlag” były wylegarnią największych kłamstw i źródłem propagandy antyrobotniczej. Z dziesiątki gazet jego koncernu rozlegało się dzień w dzień wołanie o „silnego męża” dla Niemiec. Hugenberg werbował latami rekrutów dla armii Hitlera i utorał w wreszcie drogę do władzy. Jeszcze w roku 1915 pisał w swoich pamiętnikach: „Między Dun-



kierką i Marsylią, Rygą i Odessą muszą zniknąć wszyscy nieniemcy”. Program Hugenberga stał się rzeczywistością na Majdanku i w Oświęcimiu ku nieukrywanej radości projektodawcy.

Sąd w Bielefeld pominął jednak całą zbrodniczą działalność polityczną Hugenberga i oczyścił go z wszystkich grzechów.

Agonia

— Ilu pan ma pomocników, doktorze? — Dziesięciu. Wszyscy wybrani przeze mnie spośród D. P. Wszyscy to uczeni, profesorowie, luminarze nauki swoich krajów. Wielcy uczeni. Ale jeśli uda mi się uzyskać dla nich możliwość emigracji — to chyba jako stararzy czy murarzy. Egoizm organizacji zawodowych intelektualistów zagranicznych zamyka bezlitośnie drogę przed tymi intelektualistami, którzy mogli by z Oceanem pracować jako dentyści lub lekarze.

Oto fragment wywiadu z naczelnym lekarzem największego obozu dla przesiedleńców w Niemczech, w „Funk Kasernen” pod Monachium, fragment z reportażu w katolickiej „Aube”. Trudno rzucić jaskrawsze światło na los tych, którzy porzucili własną ojczyznę. Trudno rzucić jaskrawsze światło na zdeprawowanie, jakiemu, pod wpływem kapitalistycznego ustroju, ulegli intelektualni — „wolnej” Ameryki czy — labourystowskiej Australii. Intelektualista, który zdradził i opuścił własną ojczyznę, ma przed sobą tylko dwie drogi: albo stać się agentem obcego wywiadu przeciw własnej ojczyźnie, albo stać się pracownikiem fizycznym i zmarnować całą swą wiedzę. Lekarz zaś czy dentysta w kraju kapitalistycznym widzi tylko jedno: cyfrę dochodów i konkurenta do dochodów. Smętny koniec emigracji i powstano mieszczńska agonia kapitalizmu zlewając się w jedno w dawnych koszarach SS pod Monachium.

Zasługi wydawców

Rynek wydawniczy w tym roku jaką wyjątkowo jest nieposłuszny odwiecznej zdawałoby się tradycji kanonity. Ten czas letni co dziwniejsze sprzyja zwłaszcza klasykom i to głównie tym, którymi się opiekuje „Książka i Wiedza”.

Zastępiła w pewnej chwili w miejscu edycja zbiorowa pism Adolfa Dygasiańskiego porusza się znnowu. Otrzymałmyli tom III, zawierający „W Swójczy”. Należałoby jednak prosić redakcję „Książki i Wiedzy”, by zarówno dzieła Dygasiańskiego, jak Orzeszkowej ukazywały się w takim tempie i tak mniej więcej równomiernie, jak dzieła Prusa. Te edycja dość szybko zbliża się do końca. Ostatnio otrzymał czytelnicy 3-tomową „Lalkę” (tom XI, XII, XIII) oraz 3-tomowego, bardzo w tej chwili ze względu na cuda, aktualnego „Faraona” (tom XVIII, XIX, XX). Należy dodać, że jest to w ciągu trzech lat trzecie wydanie obu wielkich powieści Prusa.

Z literatury obcej notuję w tym tygodniu dwie tylko książki, ale za to doskonałe. Obie — z literatury francuskiej, najbardziej jakoś polniechanej przez wszystkie wydawnictwa z wyjątkiem „Książki i Wiedzy”.

Nowy tom Balzaka, wznowienie przekładu Boya, zawiera „Króla Cyganerii”, „Hrabia Monte Christo”, jedna z najpiękniejszych i najpopularniejszych książek, jakie zostały napisane, doczekał się nowego, poprawnego wydania w „Książce i Wiedzy”. Czekamy na „Wicehrabiego de Bragelonne”!

TREŚĆ NR 31

Wolność sumienia będzie obroniona; Oświadczenie Rządu Rzeczypospolitej; Tadeusz Kubiak — I ja jestem wśród tych; Henryk Markiewicz — Sprawa Fredry; Tadeusz Różewicz — Wiersze; Paweł Hertz — Z notatnika tłumacza; Iwan Turgieniew — Pieśń triumfującej miłości; Leon Bukowiecki — Młoda Gwardia; Bohdan Baranowski i Władysław Rymkiewicz — Powieść o Czynigł Chanie; Aleksander Jackiewicz — Mieszczanin amerykański; Kandyd — Nagroda i wyróżnienie; Przegląd Prasy; Korespondencja; Noty.

SPROTOWANIE

W poprzednim (31) numerze „Kuźnicy” na str. 7 podano mylnie nazwisko jednego z autorów artykułu „Powieść o Czynigłchanie”: zamiast Romanowski powinno być B a r a n o w s k i.

KORESPONDENCJA

Błogosławieni zbrodniarze wojenni

14 kwietnia br. amerykańskie agencje prasowe przyniosły z Norymbergi następującą wiadomość: „Baron von Weizsacker, ambasador Hitlera przy Watykanie, został dzisiaj skazany jako zbrodniarz wojenny na 7 lat więzienia. Weizsacker był oskarżony m. in. o współudział w eksterminacji sześciu milionów Żydów. Wyrok wydany został przez trybunał amerykański”.

11 kwietnia „New York Herald Tribune” opublikował tezę obrony tego hitlerowskiego kryminalisty, która powoływała się na to, że „papież Pius XII, który go poznał uprzednio w Berlinie, a następnie jako ambasadora w Watykanie, wyrażał się z uznaniem o działalności barona von Weizsackera w czasie wojny”. Oficjalna opinia Piusa XII brzmiała: „Baron von Weizsacker jest arystokratą, urzędnikiem bardzo ostrożnym, nigdy nie pasjonującym się, nie cofającym się przed odpowiedzialnością, prawdziwym chrześcijaninem i osobą szlachetną”.

Zobaczymy więc, co robił ten „prawdziwy chrześcijanin i osoba szlachetna”. Publiczne oskarżenie sformułowane zostało przez prokuratora amerykańską w pięciu punktach.

1. Baron von Weizsacker, od roku 1936 jako dyrektor departamentu politycznego hitlerowskiego MSZ, a od roku 1938 jako stały podsekretarz stanu na Wilhelmstrasse, przygotowywał i kierował słynnymi planami agresji na Czechosłowację itd. Ten „szlachetny człowiek” uczestniczył w pamiętnym zebraniu, w czasie którego Hitler i Goering zmusili Hachę do podpisania warunków kapitulacji i utworzenia protektoratu „Czech i Moraw”.

2. Od roku 1936 von Weizsacker uczestniczył w przygotowywaniu i realizacji planów „likwidacji” ludności cywilnej krajów podbitych. Po zamachu na radcę ambasady niemieckiej w Paryżu von Ratha, ten „prawdziwy chrześcijanin” wygłosił pamiętne przemówienie, prowokując do krwawych pogromów z listopada 1938 roku.

3. Von Weizsacker uczestniczył w roku 1942 w konferencji w Wannsee, gdzie ustalono metody wymordowania w krematoriach Oświęcimia i Majdanka 6 milionów Żydów. Uchwały tej konferencji zostały w pełni zaaprobowane przez tego „prawdziwego chrześcijanina i szlachetnego człowieka”.

4. Von Weizsacker zarządził w porozumieniu z ówczesnym „prezydentem” Słowacji księdzem pralatem Tiso wymordowanie 35 tysięcy Żydów słowackich.

5. Odręcznym listem do ambasadora hitlerowskiego w Paryżu, Abetza — Weizsacker zarządził wywiezienie 6 tysięcy osób do obozów śmierci.

Te czyny spowodowały wpisanie Weizsackera na listę głównych zbrodniarzy wo-

jennych. A teraz zapoznajmy się z trzema dokumentami, jakie znalazły się w aktach procesu.

Dokument Nr 451.

Do czcignego Barona Ernsta von Weizsacker z Lindau.

Mile wspominając czas spędzony przez Pana w murach Państwa Watykańskiego, przesyłam Panu i Pańskiej żonie serdeczne życzenia świąteczne i zapewnienia, że z takim samym prawdziwym bólem jak i Pan spozieramy na nędzę materialną i duchową Pańskiego narodu.

Zapewniamy Pana, że naszym dążeniem jest pacyfikacja Europy.

W tym wielkim obrazie przyszłej odnowionej Europy Niemcy mogą liczyć zawsze na Naszą życzliwą pomoc i opiekę.

Nie wątpimy, że te lata wzmoczonych trudności dla Waszej Ojczyzny — mimo wszystkich przeszkód i przejściowych przeciwności — dadzą impuls do wspólnego odnowienia.

Polecając Bogu w gorących modlitwach zdrowie Pańskie i Pańskiej rodziny, przesyłamy Panu i Pańskiej żonie wyrazy Naszej życzliwości i serdeczne życzenia.

Dane w Watykanie 1 marca 1947.

Pius XII PP

Dokument Nr. 455.

Sekretariat Stanu Jego Świątobliwości Nr 139567.

Watykan, 23 sierpnia 1946

Eksceleńco,

Wyrazy szacunku i wdzięczności, jakie był Pan łaskaw wyrazić Ojcu Świętemu w momencie opuszczania Watykanu, głęboko Go wzruszyły.

Jego najlepsze życzenia towarzyszą Panu w tej podróży, która łączy Pana z Pańską rodziną, i której szczęśliwy wynik Jego Świątobliwości polecił Bogu, prosząc Go dla Pana o specjalną protekcję.

Zasylając i moje życzenia osobiste proszę Pana, Eksceleńco, przyjąć wyrazy wysokiego poważania i szacunku.

G. B. Montini

Dokument Nr 457.

Dedykacja na fotografii Piusa XII, ofiarowanej przez papieża Weizsackerowi:

Baronowi Ernestowi von Weizsacker, eksambasadorowi niemieckiemu przy Nas i Jego żonie życzymy najbogatszych błogosławieństw Boga z obietnicą Naszych prób i wstawiennictwa.

Watykan, Wielkanoc 1946.

Pius XII PP

Błogosławieni zbrodniarze wojenni..

Józef Solits

PAWEŁ HERTZ PORTRET SŁOWACKIEGO

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY 200 str. cena 450 zł.